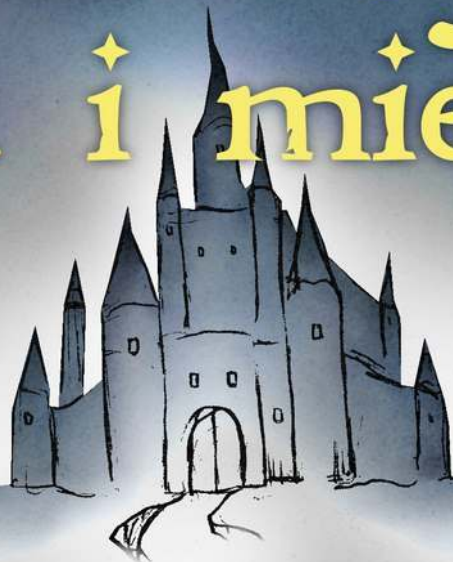


Bartosz Adamiak

Palladyni wina i miecza



PALLADYNI WINA I MIECZA

Bartosz Adamiak

Palladyni wina i miecza

Wrocław 2018

Księgarnia Adamiak

<http://bartoszadamiak.com/>

*Mikropowieść tę dedykuję wszystkim
moim wiernym czytelnikom.*

Rozdział pierwszy

Działo się to na wschodnich rubieżach Niuatry, na ziemiach, które powszechnie uważano za ostoję biedy, zacofania i wiary w zabobony. Sami mieszkańcy tych okolic prezentowali często skrajnie inny punkt widzenia, myśląc o sobie raczej jako o ludziach przedsiębiorczych, zapobiegliwych, czy wręcz roztropnych. I czasami nawet miewali rację.

Razu pewnego młody książę Morten wybrał się na poobiednią przejażdżkę powozem po okolicznych lasach, bo odetchnąć nieco od miejskiego zgiełku i pocieszyć się ostatnimi chwilami wolności przed zbliżającym się ślubem z księżniczką Arianną. Pech chciał, że napadli go zbóje, którzy biorąc go za wędrownego fircyka, przebili jego bok mieczem, odarli z wszelakich kosztowności, zaś nagie ciało porzucili nad rzeką.

Chłopi z okolicznej wsi ciało znaleźli i zawlekli na wrzosowisko nieopodal miejsca, gdzie wypasali krowy. Widząc, że trup jeszcze świeży, a nie rozpoznając w nim osoby swego księcia, postanowili przyrzadzić sobie z niego ucztę, bo głód wtedy panował srogi i do gara nie było za bardzo co włożyć.

Powiedziałem, że wypasali krowy? Nonsens. To były halucynacje z niedożywienia. Pętali się po okolicy bez celu biedaki, licząc, że znajdą jakiś grzyb lub przynajmniej garść jagód dla zaspokojenia pierwszego głodu. Dzieci swe dawno już pozjadali, więc znalazłszy trupa znośnie jeszcze pachnącego, ochoczo zabrali się do rozbierania tuszki z pomocą noży i siekier.

Książę zaginął bez śladu, a Arianna wpadła w szal wierząc, że narzeczony uciekł, by uniknąć ślubu. Po kilku tygodniach bezowocnych poszukiwań, poprosiła o pomoc ojca, który słynął był z tego, że nad gniewem swym kompletnie zapanować nie umiał. Zwłaszcza, gdy łączył wino z magicznymi wywarami na potencję, przyrządzanymi przez nadwornego medyka. A łączył je zawsze, bo kochał kobiety pasjami. I w przerwach między polowaniami i ucztami, wyprawiał dzikie orgie, na które spraszał dziesiątki, jeśli nie setki gości.

Zatem zapoznawszy się z zaistniałym casusem wpadł w szal, zwołał wojsko i najechał Niuatrę, paląc wsie, wyżynając chłopów w pień, i urządzać co jakiś czas postoje na uczyty i orgie. Najazd ten przeszedł do historii jako „Druga krwawa rejza Amaroni”. Druga, ponieważ wcześniej urządził już jedną taką, kiedy to książę Morten zbyt długo zastanawiał się nad odpowiedzią na oświadczenia Arianny. Tylko, że w czasie tej pierwszej skończyło się to w miarę szybko, i dla dobra ogółu wszystkie strony wspólnie zdecydowały, że sprawa nie będzie nagłaśniana. Natomiast „Druga krwawa rejza Amaroni” w niepamięć nie poszła. Zapoczątkowała ona długi, krwawy konflikt pomiędzy Niuatrą, a Bergamią, szczególnie po tym, jak ojciec Mortena Varak IV wysunął oskarżenie przeciwko Amaronowi, że to właśnie on kazał zabić księcia, by uzyskać pretekst do najazdu.

Wojna trwała przez długie lata niosąc ze sobą tysiące ofiar, przeważnie wśród ludności cywilnej, gdyż obie strony szczególnie upodobały sobie krótkie, niezbyt głębokie wypadki na terytorium wroga, podczas których przykładano szczególną uwagę do tego, by nie podchodzić za blisko do strażnic czy posterunków wroga. Przez wzgląd na panującą po wsiach biedę,

zysków z takich wypraw nie było żadnych, ale z drugiej strony strat także. Bo chłopcy słabo się bronili, zwłaszcza gdy na uzbrojoną w widły tłuszczę kierowano maszyny miotające płonącymi pociskami.

Brutalny był to konflikt i straszliwy. Przyniósł traumę na wiele lat, a ci którzy przeżyli, jeszcze długo nie mogli spać po nocach w obawie o swoje życie...

Frag splunął pogardliwie na deski mostu i przeklął brzydko pod wąsem. Jednocześnie zacisnął odruchowo dłoń na rękojeści przypasanego miecza, aż mu kłykcie na pięściach pobieleły. Jeźdźcy, których widział już z daleka, dostrzegli go także i skręcili w las, zapewne w nadziei, że uda im się pokonać potok w bród.

Leniwie przełożył nogę przez barierkę, i wychyliwszy środek ciężkości, przeturlał się na drugą stronę i spadł na trawę. Tamci musieli być obcy skoro myśleli, że na Topnicy znajdą jakiś bród. A skoro obcy i na koniach, to i pieniądze mieć musieli. A skoro pieniądze...

Frag raz jeszcze zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

– Kurwie syny.

Nie znosił takich niejasnych sytuacji. Był most i była obowiązkowa opłata. A tak, to musiał łązić, szukać, tłumaczyć. W lesie łatwiej o nieszczęście. Komuś by mogły nerwy puścić, ktoś by zechciał zgrywać bohatera, postawić się, nie zapłacić. Po co to wszystko? – zastanawiał się. – Przecież ludzkie życie więcej jest warte, niż te kilka srebrnych monet, za które on by mógł wykarmić siebie i jeszcze jakąś dziewczuchę.

Zatrzymał się na chwilę, by posłuchać czy przypadkiem rozmów nie

słyszeć. Rzeka szumiała przyjemnie, a ptaki śpiewały w koronach drzew, jak by się cholery zamknąć na chwilę nie mogły. Ale przecież nie było się co denerwować na głupie stworzenia. Cierpliwie nasłuchiwał, aż wreszcie dotarł do niego szelest liści, trzask łamanych gałązek i końskie chrapanie.

Jeźdźców było dwóch, ale nie rozmawiali ze sobą, toteż Frag nie mógł stwierdzić, czy znają oni mowę tutejszą. A bariera językowa to jednak zawsze jest problem, zwłaszcza, gdy nie pobiera się opłaty na moście, jak przystało na ludzi, ale gdzieś po lasach, tłumacząc jedynie, że chodzi o opłatę za przejazd mostem.

Kiedy ich zobaczył, oni dostrzegli także jego. Jeden się zatrzymał, a drugi jeszcze przez chwilę jechał, jakby wahając się, czy by nie rzucić się do galopu i nie uciec. Jednak najwyraźniej obcy nie widzieli w nim zagrożenia, gdyż ten, który zatrzymał się pierwszy, uniósł dłoń do góry w geście, który zapewne miał oznaczać powitanie. Frag odwzajemnił się tym samym, po czym raz jeszcze, ostentacyjnie zacisnął dłoń na rękojeści miecza, i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę swoich gości. Tamci obserwowali go z pewnym wahaniem, jednak żadnych kroków nie poczynili. Nie próbowali uciekać, ani też nie sięgnęli po broń.

– Powitać mili panowie! – zawołał już z daleka. – Powitać! Ja nazywam się Frag Stanson, a to jest oficjalny punkt przejścia przez Topnicę. Jednakowoż niechcący zboczyli panowie z wytyczonego szlaku, co zwróciło moją uwagę, gdyż las ten jest skrajnie niebezpieczny. Tu mokradła, koń może się omsknąć, złamać kopytko, jeździec wpadnie do wody i nieszczęście gotowe.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Jeden chrząknął i odezwał się niepew-

nie.

– Dziękujemy. – Po chwili chrząknął raz jeszcze i skłonił się uprzejmie. – Dziękujemy panie Frag za ratunek w takim razie. Wynika z tego, że uratował nam pan życie fatygując się z ratunkiem przez ten niebezpieczny las. Ja jestem Omnerć Kładsaw, rycerz. A to pan Gładisz Butenna. Również rycerz. Jesteśmy rycerzami pielgrzymami. Z dalekich stron.

Frag skłonił się grzecznie i podszedł jeszcze bliżej widząc, że póki co wszystko idzie w miarę gładko.

– Z dalekich stron powiadacie... Zatem witam was najserdeczniej w Niuatrze i mam nadzieję, że nie spotkało was nic złego na naszych ziemiach. Tutejsze lasy bywają niebezpieczne.

– Tak. Mówił to pan przed chwilą, przy okazji tego lasu – odparł Omnerć zdejmując skórzane rękawice. – Szczęśliwie nasza droga przebiega bezproblemowo.

– Nawet u tych tam? – Frag kiwnął głową w kierunku wschodnim, gdzie w odległości jednego zaledwie stajania można było dostrzec pierwsze posterunki bergamijczyków.

– Nawet.

– Zaskakująco dobrze posługują się panowie rycerze naszą mową, jak na kogoś, kto pielgrzymuje, i dopiero co przekroczył granicę Niuatry.

Frag zbliżył się tak bardzo, że już bardziej się nie dało, i spróbował pogłaskać konia po pysku. Zwierzę parsknęło niezadowolone.

– Tak, tak... Bo ogólnie rzecz biorąc, to nieraz już odwiedzaliśmy Niuatrę. – Omnerciowi na czole pojawiły się krople potu. Frag uznał, że „rycerz” słabo kłamie. – Właściwie to bywamy tu dość często, tylko zawsze

jeździmy inną trasą, ale koło Fusilli remontują drogę i objazd jest...

– Nie ma takiego miasta – wycedził zimno przez zęby Frag, wcinając się w pół słowa przebierańcowi, i wyjął gwałtownie miecz. – Kim jesteście? Gadać, bo posiekam!

Z początku zamierzał tylko wziąć niewielką opłatę za przekroczenie mostem rzeki, teraz dostrzegł dla siebie większą okazję. Ich wprawdzie było dwóch i mieli konie, jednak w lesie, wśród drzew, konie nie były aż taką przewagą, zaś ci dwaj tak po prawdzie też na rycerzy nie wyglądali. Ten drugi nie miał dłoni, więc mógł być nawet pospolitym złodziejaszkiem, którego kiedyś przyłapano na kradzieży jabłek.

– No dobra. Frag, tak?

– Tak, Frag.

– No dobra Frag – zaczął dyplomatycznie ten, który przedstawił się jako Omnerć Kładsaw. – Nie jesteśmy rycerzami. To nasz fortel. Jesteśmy ludźmi interesu.

– Rozumiem.

– Myślę, że ty też jesteś człowiekiem interesu, prawda? No to ile?

Frag szybko dokonał w głowie obliczeń, po czym rzucił z nonszalan-
cją:

– Trzynaćście!

Przebierańcy popatrzyli na siebie. Ten bez ręki, wyjął z zawieszonej na pasie sakiewki kilka monet, otworzył dłoń i przeliczył wzrokiem.

– Dostaniesz dwadzieścia dwa, jeżeli szybko zapomnisz o tym, co tu widziałeś.

– Nie ma problemu, mam słabą pamięć. – Frag uśmiechnął się szpet-

nie. – Zwłaszcza po winie.

Wszyscy trzej roześmiali się znacząco, aż ptaki z koron drzew zerwały się do lotu. Frag zainkasował pieniądze, po czym schował je oraz miecz, skłonił się nisko, odwrócił na pięcie, i ruszył w gęstwiny uśmiechając się do siebie. W gruncie rzeczy dzień zaliczył do bardzo udanych. Słońce nie było jeszcze w zenicie, a on miał już więcej pieniędzy, niż zdarzało mu się zbierać przez cały dzień.

Lekko wskoczył na mostek, po czym skierował swoje kroki do nieodległego miasteczka, gdzie zamierzał w karczmie przepuścić wszystko, co do grosza, rozkoszując się najlepszymi daniami, hektolitrami wina i piwa oraz towarzystwem jakiejś pięknej damy. Życie czasem uśmiechało się do człowieka. I czasem naprawdę wystarczyło ten uśmiech odwzajemnić, wyciągnąć dłoń i czerpać, czerpać aż do radosnego upojenia...

– Mówię ci mała – wybełkotał leżąc nago na podłodze pokoju gościnnego kilka godzin później. – Do radosnego upojenia, rozumiesz?

Kasandra uśmiechnęła się uroczo, wypuszczając kłęb zielonego dymu, który otoczył ich niczym mgłą. Poświata z pełgającego płomyka świecy tańczyła radośnie na jej nagich piersiach.

Frag rzucił pustą butelkę w kąt, zwymiotował i zasnął.

Rozdział drugi

Wojna pomiędzy Niuatrą a Bergamią trwała przez długie lata, a zmęczeni nią ludzie klęli na czym świat stoi. Jednak nie mogli liczyć na nikogo. Ofiary szły w tysiące, a obaj królowie byli tak zaciętrzewieni, i tak bardzo pochłonięci rządzą zemsty, że nie chcieli słuchać o jakiegokolwiek możliwości zakończenia konfliktu. Szczególnie, że i Amaron, i Varak IV ochoczo pozwalali na to, by manipulowali nimi ich doradcy, którzy w wojnie szybko upatrzyli sobie interes – doradzanie królowi.

Amaranowi doradzała rodzina Veneri zamieszkująca północną Bergamię. Znany i szanowany ród, który – o czym król nie wiedział – spokrewniony był z rodziną Kamea, z której z kolei wywodzili się czołowi generałowie Varaka IV, stojący przy nim podczas kampanii odwetowej. Senior rodu Veneri – Klemens Karol Veneri – był dużym udziałowcem największej kuźni w Bergamii, w której wytwarzano dość kiepską, ale w miarę solidną i taną broń. Już w drugim roku trwania konfliktu władali nią wszyscy żołnierze obu stron. Rodziło to pewne kłopotliwe pytania wśród społeczeństwa, jednak propaganda szybko zrobiła swoje. Po wsiach chodzili podżegacze, którzy przekonywali, że „nie ważne, od jakiego miecza giniesz, ważne, kto trzyma rękojeść”. Było to prawdopodobnie pierwsze w historii hasło reklamowe. Niezbyt udane. Chłopom niezręcznie było w chwili śmierci wypominać żołnierzom, że walczą dokładnie tą samą bronią, co ich wrogowie. Żołnierzom wszystko zwisało, póki dostawali żołd.

Biednym zawsze wiatr wieje w oczy.

Frag obudził się z potwornym bólem głowy, cały w wymiocinach. Kasandry już nie było. Zapewne zmyła się, gdy tylko otworzyła oczy, i uświadomiła sobie, gdzie i z kim przebywa. Przynajmniej zachowała tyle przyzwoitości, bo otworzyć okno i wpuścić trochę świeżego powietrza. Na dworze padał deszcz i panowała ogólna plucha. Stąd zapewne ten potworny ból głowy, bo przecież nie wypił dużo więcej, niż zwykle. Trzy, może cztery litry niezbyt mocnego wina.

Był sobotni poranek i do Bragville zjeżdżali kupcy na targ. Zjeżdżali też ludzie z okolicznych wiosek, by zrobić zakupy, oraz cała masa dziwadł pokazujących sztuczki za pieniądze. Najdziwniejszym, co Frag na takich jarmarkach widział, był pies żonglujący nożami.

Pies żonglujący nożami!

– Jest tam kto? – usłyszał tuż przed tym, jak do drzwi zaczęły walić czyjeś pięści. – Koniec doby hotelowej. Wypierdalać!

– Już się zbieram! – odkrzyknął i zaczął się ubierać.

Po chwili podobnej treści informację usłyszał raz jeszcze, tym razem skierowaną do lokatora sąsiedniej kwatery. Ucieszył się na myśl, że mimo wszystko noc spędził jak panisko, i że jest sobota, a więc jakiś pieniądz wpadnie z rzeźniaków na targowisku. I jeszcze z tego, że do miasta zawitać mogli jego rozmaici starzy znajomi, dla których złodziejski fach też był sposobem na życie. Starał się nigdy nie przegapić okazji do tego, by w doborowym towarzystwie napić się wina i piwa, i wymiętosić jakąś grubą córkę kogoś tam. A tak właśnie bywało, gdy do miasta zjeżdżał jarmark.

Ochlapał się tu i ówdzie zimną wodą, skończył ubieranie i wyszedł

z kwatery, pozostawiając radosny bałagan, na który składały się potłuczone butelki, wymiociny oraz inne płyny ustrojowe. Bawiła go myśl, że ktoś to będzie musiał posprzątać.

Lekkim krokiem, pomimo bólu głowy, udał się na rynek, by tam zdobyć fundusz operacyjny mający zasilić projekt „piwo”. Wszak dzień zaczął się nie aż tak bardzo najgorzej, i szkoda mu było marnować taką okazję. Życie czasem uśmiecha się do człowieka, ale znowu nie aż tak często. A tu proszę: jednego dnia dwóch frajerów, drugiego jarmark i cała masa frajerów. Nic, tylko golić, jak owce.

Pierwszy mieszek wpadł mu w dłoń, zanim jeszcze wyszedł z gąszczu peryferyjnych uliczek. Dzięki temu na plac główny dotarł z kuflem w dłoni i panną przy boku. Nie było to nic poważnego – dostrzegli się, wzrok się spotkał i nie mógł się rozerwać, a on jej powiedział, że jest piękna jak wiosenne fiołki. A tak naprawdę miała duże cyce. Rozstanie nastąpiło, gdy Frag zwęszył następny tłusty miech. Dziewoja była słabym ogniwem w tym całym planie, więc rzucił ją bez krzty żalu po pięćdziesięciu metrach. Odeszła ze szlochem, a on z uśmiechem i kolejnym piwem.

Na placu spotkał Variana, który wracał już z roboty i wielce chwalił sobie, że do miasta przybył nie byle kto, a prawdziwy kwiat Niuatry. Kwiat wschodniej Niuatry – ludzie uczciwi i pracowici, dla których nic nie warte są nowomodne, zachodnie ubrania i fryzury. Varian podzielił się swoim zapasem zielska, z którego Frag ochoczo skorzystał, po czym wychylili po kuflu piwska, i rozstali się serdecznie jak bracia, choć nimi nie byli. W karczmie Frag poznał Maglinę, czarnowłosą piękność. Lecz uciekł okienkiem w kiblu, gdy usłyszał magika. Magik wyciągał różne rzeczy z kapelusza, a ludzie stali

z rozdziawionymi ustami nawet nie czując, jak ktoś zabiera ich mieszki.

Ból głowy mijał z każdym pieniążkiem, który wzbogacał życie Fraga. Frag czuł się jak bogacz, i co chwilę sięgał po kolejne trunki. Od bójek stro- nił, i nie zwracał na siebie uwagi. Cicho i przebiegle obszedł cały plac, a co uzbierał, zaraz starał się wydać, by nie było dowodów.

Jednej damie kupił szczerozłoty naszyjnik. Jej gach zaczął się pluć, ale gnój dostał w mordę, i uciekł z podkulonym ogonem. Gdyby było więcej czasu, pewnie pozwoliłby się jej zrewanżować, lecz mieszki czekały, i wzy- wały go swym nęcącym, sennym głosem: „Chodź tu Frag... czekamy na ciebie... pełne i brzęczące...”

Był niepoprawny w tym, co robił. Nim się obejrzał była już północ i grała orkiestra uliczna. A on był mocno pijany i na kolanach siedziała mu jakaś kobieta. Byli z nim także Varian oraz ten cholerny rzeźnik Rodrick, któremu czasem puszczały nerwy i potrafił wrazić komuś sztylet w gardło z byle powodu.

Frag nie lubił Rodricka, ale jeśli pije się z kimś takim jak Rodrick, nie warto okazywać mu antypatii.

– Rodrick, mój przyjacielu! – zawołał w nagłym przyływie serdecz- ności.

Później jednak znów wszystko się rozmyło, i szli gdzieś wszyscy razem, i grała kolejna orkiestra. Frag oprzytomniał na chwilę w wychodku, nachylony nad czarną, cuchnącą dziurą. Wypuścił z siebie falę beżowych wy- miocin i pomyślał, że czas już się z tego układu wycofać. Zabawa zawsze jest świetna. Wino i piwo też są zawsze świetne. I kobiety, bardzo dużo ko- biet. Ale nawet najlepszym się może noga podwinąć. Nawet najlepsi potrafią

zawisnąć na szubienicy albo stracić głowę na szafocie.

Wyszedł z wychodka i skierował się w losowym kierunku, który nie był wnętrzem karczmy. Tak będzie najlepiej – pomyślał. Zawsze lepiej zniknąć i powiedzieć później, że się straciło przytomność, niż na przykład dyndać na jebanej szubienicy jak Hank.

Hank to był chłop na schwał. Kradł ile wlezie, i z wydawaniem się nie krygował. Stawiał wszystkim, i miał wszystko, czego chciał – kobiety, wino i śpiew na całego. Żył mocno i intensywnie. Aż w końcu go powiesili i Frag natknął się na niego po tygodniu, jak już miał wyżarte przez ptactwo oczy. Straszliwy widok, który pozostaje w pamięci do końca życia. Objedzona z mięsa żuchwa wisiała bezładnie ukazując zaniedbaną jamę ustną i brak języka, którym prawdopodobnie też nacieszył się jakiś kruk.

Frag odgonił od siebie tę nieprzyjemną myśl. Szedł na oślep przez tłum. Trwał festyn i wszędzie wszyscy się radowali. A on szedł nienaturalnie szybko, zdając sobie przy tym sprawę, że jeżeli się przewróci, to już nie wstanie.

Nagle natknął się na tych dwóch z lasu. Stali zakuci w dyby, jak te dwa kołki, a obok nich strażę – dwóch roślących chłopów. Odwrócił się, by oszuści rycerze go nie dostrzeli, ale było za późno.

– Frodo! Ej, Frodo! To my, poznajesz nas?

Przez chwilę rozważał czy nie rzucić się do biegu, ale zorientował się, że stoi, całkowicie sparaliżowany. Gdyby nagle rzucił się po tym, jak oni go zawołali, strażę z pewnością puściliby się za nim w pościg. A w tym stanie złapałby go po jakichś dwóch krokach.

Odwrócił się z najszczerzym uśmiechem, na jaki było go stać.

– Panowie mnie chyba z kimś pomylili – powiedział.

– Nie, nie... słuchaj Frodo, musisz nas stąd wyciągnąć. To jakaś cholerna pomyłka. Ci panowie wzięli nas za kogoś, kim nie jesteśmy.

– A kim nie jesteście? – zapytał Frag.

– Nie jesteśmy przemytnikami ani szpiegami. Jesteśmy rycerzami pielgrzymami. Ty możesz to potwierdzić. Spotkaliśmy się wczoraj! – gorączkowo przemawiał ten, który przedstawiał się jako Omnerć.

– Wczoraj? To niemożliwe. Przybyłem do miasta dziś rano – powiedział Frag bardziej do strażników, niż do rycerzy oszustów. – Handluję kapustą. Ale już całą sprzedałem i jutro wracam do domu. Do żony i dzieci.

Strażnicy spojrzeli po sobie znacząco. Jeden uśmiechnął się szyderczo, jakby fakt posiadania żony był czymś uwłaczającym.

– Nie pamiętasz? Spotkaliśmy się w lesie przy moście. Uchronił nas pan przed wejściem w mokradła!

– Znasz tych dwóch? – zapytał w końcu jeden ze strażników.

– Nie – bez wahania skłamał Frag. – Pierwszy raz na oczy widzę. Ale ja już tak mam, że ludzie mnie z kimś ciągle myślą. Mam bardzo pospolitą gębę. Co drugi taką ma. Zresztą w ogóle nie nazywam się Frodo tylko... – Zastanowił się przez chwilę. – Hank. Hank Kapucha. Największy producent kapusty na wschód od Boltzwin.

– Przyjechałeś aż z Boltzwin? – Strażnik zrobił niepewną minę.

– Na wschód od Boltzwin – poprawił go Frag. – Czyli na zachód od Bragville. To mała miejscowość. Nazywa się Kalpingard.

– Kalpingard... nie znam.

– Jak większość ludzi. W każdym razie tych dwóch pierwszy raz na

oczy widzę. Dobrze spełniacie swoją robotę chłopcy. – Poklepał jednego ze strażników po ramieniu i odszedł.

– Nie zapomnimy ci tego Frodo! – wrzasnął na odchodne Omnerć. – Mam nadzieję, że dobrze się zabawieś za nasze srebrniki, bo jak tylko będziemy mieli sposobność, rozliczymy się z tobą!

Co za maniacy, pomyślał Frag odchodząc. Ta cała afera otrzeźwiła go nieco, więc poczuł się niezadowolony i zirytowany. Cały z mazołem wypity alkohol, poszedł na zmarnowanie...

Rozdział trzeci

Wojnę zakończył rozejm, który podpisały małżonki obydwu króli. Miało to miejsce dwadzieścia lat po rozpoczęciu krwawego konfliktu, kiedy to Varak IV po wylewie nie był już w stanie mówić, a Amaron gryzł już glebę, i wszyscy czekali, aż jego małoletni syn dorośnie na tyle, by przejąć władzę od swojej matki.

Amaron umarł na zawał będąc w dziwce, trzy lata wcześniej. Jego żona Tamira przez całe życie czuła się upokarzana, więc przyjęła propozycję pokojową, kiedy tylko ta została złożona przez jej niedoszlą swatkę.

W roku zawarcia rozejmu Frag miał siedem lat i był sierotą, ale kradł równie dobrze jak dorośli, a może nawet lepiej. Jego rodzice zginęli podczas jednej z rejsz bergamijczyków, gdy miał cztery lata. Ukrył się w kurniku i dobrze widział, jak czarny jeździec z włócznią przeszywa jego ojca, a potem ścina jego matkę trzymaną przez dwóch zbirów. To traumatyczne przeżycie nauczyło go, że ludzie to świnie i nie należy mieć wyrzutów sumienia w związku z żadną niegodziwością poniżej morderstwa.

Rozejm nie przyniósł poprawy ekonomicznej mieszkańców wsi. Pograniczne nadal ogarniała bieda i głód, ponieważ przedstawiciele władz żadnej ze stron nie kwapili się do tego, by w jakikolwiek sposób zadbać o mieszkańców takich miast jak Bragville czy Feistok. Pracowici i uczciwi ludzie samodzielnie odbudowali tę krainę, pozostając w niezbyt ciepłych relacjach ze swoimi panami.

Na pograniczu interesy zaczęli robić Veneri. Szmuglowali towary

deficytowe z jednego królestwa do drugiego, pomijając przy tym cła. Nie było z tym problemu, gdyż większa część kadry oficerskiej obu armii była powiązana albo z rodem Vernerich, albo z rodziną Kamea. Po śmierci Amarona nikt w Bergamii nie był w stanie tego upilnować. I podobnie w Niuatrze.

Handel kwitł, a wielu drobnych cwaniaczków dorobiło się prawdziwych fortun.

Frag obudził się w przydrożnym rowie, cały mokry, utyłany wymiocinami i odchodami. Nie miał przy sobie miecza, ani żadnych pieniędzy. Prawdopodobnie został obrabowany, a sądząc po bolącej szczęce, także i obity. Przeklinał siebie w duchu, że ma tak słabą wolę, i że tak straszliwie dużo pije, kiedy już poczuje zew. Ale nie było siły. Rzecz była silniejsza od niego, i od kogokolwiek innego, kogo znał.

Wyczołgał się z rowu i przez chwilę siedział na poboczu patrząc, jak ludzie wyjeżdżają z Bragville. Niektórzy szczęśliwi i uśmiechnięci, inni smutni i posępni. Czasem człowiek wybierał się na targ by sprzedać plony z całego lata, a potem tracił wszystkie pieniądze na dziwki i alkohol. Wracał do rodziny i musiał się przyznać, że stracił wszystko na dziwki i alkohol. Żony odchodziły, dzieci trafiały na ulicę i wszystko się sypało. Takiemu upadłemu człowiekowi nie pozostawało nic innego, jak tylko pójść do lasu, zarzucić na gałąź porządny sznur i skończyć ze sobą. Jednak wielu z nich nie było stać na porządny sznur. Wieszali się na byle czym i całkowicie bezskutecznie.

– Uszanowanko! – Roześmiany Varian przysiadł obok niego. – Gdzie

wczoraj zniknąłeś? Te kobiety, które z nami były... Prawdziwe diabllice. Aż mnie zawstydziły cholerne grzesznice. Jeszcze mam rumieńce, spójrz. – Złodziejaszek zaprezentował oba policzki. – Ty też masz jakiś rumieniec, ale to chyba... Nie! Dostałeś wpierdol?

– Może zdziwi cię taka odpowiedź, a może nie, ale nie pamiętam.

– To w sumie najlepsza odpowiedź, jakiej mogłeś mi udzielić – zaśmiał się Varian. – Straciłbym do ciebie resztkę szacunku, gdyby się okazało, że jakieś chłystki cię pobiły i odebrały ci broń, a ty wszystko pamiętasz.

Frag zwymiotował na trawnik.

– Wczorajszy dzień był dość ciężki – wymamrotał smarkając marchwią.

– Tak, tak. – Varian poklepał go po plecach. – Wyrzuć to. Nie tłamś tego w sobie. Czasem dobrze jest solidnie się wyrzygać przed podróżą.

– Przed czym?

– Przed podróżą. Nie pamiętasz? – Varian spoważniał. – Ustaliliśmy coś wczoraj. Jedziemy wykraść lodową koronę czarownikowi Xeltahowi z Góry słoniowej.

– Ni cholery nie pamiętam... – Frag zwymiotował kukurydzą. – Nie pamiętam też, żebym jadł kukurydzę.

– Ty nie jadłeś. Jadła ją dziewczyna, którą posuwałem w tyłek, a później zrobiła mi loda ta, z którą się całowałeś. – Varian roześmiał się zło-wieszczo. – Żartuję. To było jakoś inaczej. W każdym razie wyruszamy już za moment. Rodrick miał załatwić konie. Będzie jeszcze jeden koleś. Mag bojowy. Totalnie zjebany typ. Miałbym prośbę, żebyś go nie prowokował, ok? To prawdziwy świr. Gotów nas pozabijać...

– Myślałem, że wakat świra obsadził Rodrick – wymamrotał Frag.

– Rodrick? – Varian zapytał nieobecny tonem. – O, widzę go. Już jest! Rodrick, tutaj!

Waryjczyk prowadził na wodzy cztery beczułkowate klacze. Jeżeli nie kradzione, to z pewnością kupione za kradzione. Zadbane były i musiały kosztować немало, ale tacy jak ci dwaj, nie mogli mieć pieniędzy z uczciwej roboty.

Rodrick oddał lejce Varianowi i odpalił sobie zmiętego papierosa.

– A temu co?

– Powiedz lepiej, gdzie nasz mag?

– Mag...

– Będę potrzebował jakiejś broni – wtrącił się Frag. – Ktoś chyba napadł mnie, pobił i okradł.

Rodrick uśmiechnął się radośnie i wyjął zza paska pochwę z mieczem Fraga.

– No dobra, to ja. Taki żarcik. Proszę, oto twój miecz.

– Ty? – Frag wstał i przypasał sobie miecz. – Dobra, o co chodzi z tą koroną mrozu?

– Lodową koroną – poprawił go Varian. – Czarownik Xeltah trzyma ją w swej twierdzy na Górze słoniowej. Straszliwe miejsce, w którym nigdy nie chciałbyś się znaleźć.

– To po co tam jedziemy?

– Musimy mu ją podwędzić. To zadanie, które wczoraj przyjęliśmy w karczmie – uśmiechnął się złodziej. – Czeka nas bogactwo i chwała. Przede wszystkim bogactwo i chwała, ale również i inne przyjemności.

O, zbliża się nasz mag bojowy.

Mag bojowy był niskim, łysiejącym, chuderlawym człowieczkiem z rzadką, przypominającą włosy łonowe brodą, która przedstawiała się co najmniej kuriozalnie. Choć nie aż tak kuriozalnie jak szata, która wyglądała, jakby zdjął ją z kogoś o kilka rozmiarów większego. W różnych miejscach poprzyklejane były błyszczące gwiazdki wycięte z cienkiej blachy, z założenia mające chyba sugerować, że właściciel jest magiem bojowym.

– Mag bojowy – powtórzył Frag przełykając kolejną falę wymiocin, która podchodziła mu do gardła. – Czy naprawdę muszę iść z wami po tę koronę?

– Nie musisz – odparł Varian. – Skoro masz lepsze rzeczy do roboty, to droga wolna. Ale nasz zleceniodawca obiecał nam sto złotych sestercji do podziału. Czyli po dwadzieścia pięć na łebka. Jeśli rezygnujesz, podzielimy twoją część pomiędzy siebie. Aczkolwiek narazisz nas także na ryzyko poniesienia śmierci.

– Tak. Cztery to akurat tyle, ile trzeba – powiedział mag dochodzący właśnie do pozostałych. – Mauricius Drakenus – przedstawił się. – Cztery to liczba mistyczna. Cztery nogi ma stół i każde zwierzę czworonożne. Cztery rogi ma każde pomieszczenie i każda para kozłów. Cztery dodać trzy to siedem, co stanowi liczbę mistyczną, zapisaną w gwiazdach i cyklach księżyca, bo siedem razy cztery to miesiąc. A rok podzielić na trzy to cztery miesiące. Zaś siedem razy trzy to...

– No dobrze, chyba już rozumiem – przerwał mu Frag. – Dostanę złoto, jak się uda. Nie ma sprawy. To całkiem uczciwy układ. Choć nie przywykłem do tego, by wykonywać czyjeś polecenia i musieć gdzieś łązić,

i w ogóle.. Jak to się mówi... Pracować.

– My także, ale tamtemu człowiekowi tak dobrze z kiesy patrzyło – rozculił się Varian, a Rodrick mu przytaknął.

– No to może trzeba mu było tę kiesę zabrać?

Kłócili się jeszcze długo, ale by nie marnować czasu wsiedli na konie i ruszyli spokojnym tempem na zachód. A nieco dalej, przy rozstaju dróg odbili na północ, w stronę pasma Gór smoczych, pośród których leżał szczyt będący celem ich wyprawy. W sercach grała im naprawdę epicka muzyka, i w końcu umilkli, by skupić się na swoich przeżyciach i emocjach, na niepokoju, który odczuwali opuszczając swoje bezpieczne, dobrze znane okolice. Wiatr rozwiewał im włosy i poły płaszczy, zaś w każdej mijanej wsi dzieciaki biegły za nimi, obrzucając ich wysuszonymi plackami i stosunkowo grzecznymi obelgami.

Mauricius Drakenus okazał się, wbrew słowom Variana, całkiem wdzięcznym kompanem w podróży. Na postojach zabawiał ich sztukami magicznymi, ciskając raz za razem różne proszki w ogień, powodując niesamowite luminescencje. Z gracją opowiadał też dzieje dawne, kiedy to herosi walczyli z bestiami, by oswobodzić piękne księżniczki, z którymi później się żenili, i wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Pierwszorządnie potrafił także przyrządzić to, co Rodrickowi udawało się od czasu do czasu mimochodem upolować. Raz był to bażant, innym razem kaczka, a jeszcze innym perkoz.

Raz podczas postoju na załatwienie potrzeb fizjologicznych wyznał Fragowi, że magiem bojowym jest od niedawna. Wcześniej był magiem zwyczajnym, a jeszcze wcześniej szewcem i kaletnikiem. Ale miał spore pro-

blemy z zamówieniami, więc za namową żony poszedł na kurs doskonalenia zawodowego, gdzie pokazano mu bardzo wstępne arkana magii. Głęboko jednak wierzył w to, że swą osobą wnosił dużo wartości do drużyny, i że on sam robił co najmniej za półtora, podczas gdy „ten fircyk Varian” był raptem połówką.

– Czyli że ja i Rodrick to jedyńki? – zapytał Frag.

– Tego nie powiedziałem – odparł Mag ponuro.

Podróż upływała im całkiem przyjemnie, choć spali po lasach, w dość dużych niewygodach, a do typowo miejskich rozrywek dostępu nie posiadali. Zioła do palenia skończyły się po tygodniu, i każdy chodził jak struty. Kawy ani wina także nie mieli, choć mijali kilka obskurnych karczm. Jednakże w takich wiejskich przybytkach trudniej było o kradzież, bo sami miejscowi tam zaglądali, i zwykle niezbyt zamożni byli. Ucztować zatem nie poucztowali, dziewczek nie pomiętosili, ani wina też nie popili.

W drugim tygodniu wyprawy dostrzegli pasmo Gór smoczych majaczące w oddali. Postanowili wspólnie, że zбочą nieco z drogi, i w najbliższym większym mieście zatrzymają się na dłużej, by zdobyć nieco funduszy operacyjnych, i zafundować sobie większą ucztę, taką z wszelakimi uciechami cielesnymi. Tak na wypadek, gdyby ktoś miał żywy z misji nie wrócić. Wszak Xeltah uchodził za wyjątkowego psychopatę, nawet jak na czarownika. Zła sława o jego czynach docierała w najdalsze zakątki Niuatry. Jeszcze przed wojną z tymi plugawymi psami z Bergamii, Varak IV planował zrobić porządek z Xelathem, który porywał dzieci i dziewice z okolicznych wiosek, by odprawiać swe czarne obrzędy. Jednak nic z tego nie wynikło, bo kogo król posyłał w góry, ten wracał całkowicie szalony i wkrótce umierał

lub sam odbierał sobie życie.

Frag z niepokojem podjął pewnego wieczora ten temat przy ognisku, jednak zbyty został obscenicznym beknięciem ze strony Rodricka oraz pobłażliwym uśmiezkiem Variana. Mauricius spuścił tylko głowę i naba-
zgrał coś patykiem na piasku. Frag wiedział, że maga coś gryzło, i jego
niepokój wzrósł tym bardziej. Xelath nie był zwyczajnym hochsztaplerem,
jakich pełno było wszędzie. Rzeczywiście miał jakąś tam moc.

Rozdział czwarty

Do dziesiątego roku życia Frag był już prawdziwym wyjadaczem, znającym wszystkich, których warto było znać. Sam też znany był wszystkim, którym warto było być znanym. W mieście Burge był kimś w rodzaju maskotki szefa wszystkich najgorszych szumowin. Nikt nie ważył się go ruszyć, bo wiadomo było, że zaraz Grey się o wszystkim dowie, i przyśle kogoś, by sytuację wyjaśnić. Przy czym „wyjaśnienie sytuacji” nie oznaczało w tym przypadku niczego dobrego. Przeważnie chodziło o wyrządzenie jakiejś krzywdy fizycznej.

Frag piął się coraz wyżej w hierarchii, zdobywając coraz to istotniejsze funkcje. Mając lat piętnaście zarządzał już całym miastem w imieniu Greya, zaś jego patron mógł skupiać się na rzeczach ważniejszych i bardziej przyjemnych. W końcu jednak Fragowi znudziło się życie korporacyjne i zupełnie bez pożegnania opuścił Burge. Niewątpliwie w podjęciu tej decyzji pomogła mu noc spędzona z córką Greya.

Od tego czasu zaczął wieść żywot wędrowny, poznając kolejne miasta i zdobywając nowych przyjaciół...

– A pamiętasz, jak kiedyś po pijaku zapuściliśmy się na tereny bergamijczyków? – Varian klepnął go w plecy. – Psubraty ruszyli za nami w pościg. Byłem pewien, że dorwą nas i obwieszą na gałęzi, albo dla zabawy podpalą.

– Nigdy tego nie zapomnę.

Fragowi nie było do śmiechu. Dupa go bolała od jazdy konnej, męczył go straszliwy kac oraz narastające poczucie, że popełnia największy, a i być może ostatni życiowy błąd. Na każdym niemal postoju Rodrick próbował kogoś okraść, i prawie za każdym razem kończyło się to rozlewem krwi. Mag bojowy zaś sprawiał wrażenie osoby mocno przelęknionej, i niezbyt chętny był do prezentowania swoich umiejętności.

– Jeszcze nie teraz, to nie jest prawdziwe zagrożenie – zwykł mawiać.

Frag nie był pewien, czy ten człowiek rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Nawet jeżeli podawał się tylko za maga początkującego i niedouczzonego.

Niebezpieczna sytuacja miała miejsce pewnego dnia, kiedy to zmęczeni trudami podróży bohaterowie zajechali przed obskurną karczmą, jakich w tych okolicach były dziesiątki. Zaraz wybiegła chmara bachorów, chcących obrzucać ich wysuszonymi plackami i obelgami, ale Varian uprzedził ich, rzucając im kości, które przezornie zachował z porannego posiłku. Działwa rzuciła się do ogryzania, a uczestnicy wyprawy spokojnie mogli oddać konie do stajni i udać się na zasłużony spoczynek.

Rodricka od rana nosiło do zła. W karczmie zniknął gdzieś zaraz po przyjściu, i musieli zamówić za niego. Pojawił się po chwili twierdząc, że odwiedzić musiał wychodek, jednak nie wiadomo skąd, rzucił nagle na stół wypchany mieszek. Varian wzruszył tylko ramionami i zamówił dodatkową beczułkę wina, którego wszyscy byli spragnieni, jak dziecię mleka matki.

Frag, choć przyrzekał sobie, że ograniczy nieco spożycie trunków, rzucił się od razu na karafkę, nie dopuszczając nawet innych, zanim nie ugasił swego pragnienia. A zajęło mu to tak długo, że na stole zdążyły pojawić

się parujące półmiski pełne pieczonego ptactwa, klusek z omastą oraz serów.

– Mocno cię męczyło – zaśmiał się Varian. – Trzeba było mówić, żeś spragniony. Wcześniej byśmy większy postój urządzili. Do Gór smoczych jeszcze ze cztery dni drogi pozostały. A im dalej na północ, tym mniej będzie osiedli ludzkich. Odkąd Xelath zaczął siać terror w tych okolicach, ludzi coraz mniej tu mieszka...

– Xelath? Mówicie o tym starym okrutniku z góry słoniowej? – wtrącił się jakiś starzec siedzący przy stoliku obok. – Straszny skurwysyn to jest. Powiadam wam. Straszny skurwysyn!

– Znasz go starcze? – zaciekawił się Rodrick.

– Czy go znam? – Mężczyzna obruszył się, aż sobie brodę zapluł. – Znam ja go bardzo dobrze! Jestem właśnie jednym z tych, o których dzielni panowie przed chwilą wspomnieli. Mieszkałem ongiś pod samą górą, tak blisko, że w dni gdy nie było mgieł, mogłem dostrzec mury jego wieży. Jednakże...

Starzec przysunął się z krzesłem do Variana i ściszył głos.

– Jednakże trzeba było stamtąd uciekać.

Zapanowała długa i niezręczna chwila milczenia. Nie do końca wiadomo było dlaczego, więc Frag postanowił ją przerwać.

– Mianowicie dlaczego?

Mężczyzna wlepił w niego swoje jasnoblękitne, przykryte już bielmem oczy, pełne ni to gniewu, ni przerażenia.

– To nie jest dobry człowiek. Powiecie, że oczywiście, że nie dobry, skoro czarodziej. Ale mnie o co innego idzie. – Wytarł ślinę z brody i odstaawił swój kufel na stół. – Nawet gdy człowiek jest podłym nikczemnikiem jak

te psy z Bergamii, to najczęściej zachowuje on jednak jakieś pozory człowieczeństwa, jakieś ludzkie cechy – jest prymitywny, głupi i chytry. Xelath taki nie jest. Nie znajdziecie u niego cech ludzkich. Zachowuje się tak, jak byśmy byli dla niego osobnym gatunkiem. Słyszałem straszne rzeczy panowie. Straszliwe! O gotowaniu dzieci żywcem i obdzieraniu ze skóry. Poił przy tym męczonych jakimś specyfikiem, dzięki któremu nie umierali. Jakoby jakieś eksperymenta przeprowadzał...

– No to grubo, grubo – mruknął pod nosem Rodrick.

– A korona? Wiesz coś o koronie starcze? – dopytywał Varian.

– O koronie mrozu... – zamyślił się mężczyzna.

– Lodowej koronie – poprawił go Varian. – Czy słyszałeś kiedyś o lodowej koronie? Widziałaś ją? Czy to prawda, że istnieje, czy bujdy jeno?

– Prawda najszczęsza! – Starzec znów się zapluł, a dodatkowo z nosa poleciał mu gil, który wytarł w rękaw. – Xelath stale nosi ją przy sobie. To za jej pomocą terroryzuje ludzi. Może ich zamienić w bryłę lodu jeśli chce, a potem stłuc na drobne kawałeczki. Zresztą to nie istotne, co zrobi potem, bo takiego zamrożonego człowieka to już się nie da odratować!

– A skąd ty to wszystko wiesz? – zapytał Frag tonem pełnym powątpiewania.

– Już mówiłem... Mieszkałem tam! Musiałem stamtąd uciekać, ale wcześniej straciłem wielu bliskich i znajomych. Raz sąsiad poszedł na grzyby i znaleźli go zamrożonego. Innym razem, pewnej czerwcowej nocy, na całą wioskę spadł taki mróz, że rano trzeba było siekierami drzwi rozbijać. Krowy, świnie, kaczki, kury... Wszystko poszło się jebać!

Frag zamierzał jeszcze trochę podroczyć się z dziadkiem, jednak nagle

nad ich stołem pojawił się tęgi człowiek z nietęgą miną. Za pasem zawieszony miał gigantyczny tasak, na którym widać było ślady zakrzepniętej krwi.

– Jeden z panów chyba ma coś, co do niego nie należy.

Frag od razu spojrzał na Rodricka, który nagle zainteresował się swoim talerzem, a w szczególności porcją mięsa.

– Co to właściwie jest? Kurczak? Tu wygląda, jakby miał sierść.

Frag doskonale wiedział, że tak kuriozalna uwaga wygłoszona przez Rodricka oznacza zwykle, że zbliżają się kłopoty. Odruchowo przemieścił swoją dłoń w pobliże miecza, jednak nie zdążył nawet go wymacać, gdy w blat przed ich nosem wbił się tasak.

– Który skurwiol obrabował pana Gorlika?

Zza wielkiego jak góra rzeźnika wyłonił się grubiutki jegomość, który wskazał palcem Rodricka.

– To chyba był ten – wymamrotał niewyraźnie.

Rodrick podniósł się, wywracając krzesło, i wypuścił gwałtownie prawego sierpowego w brzuch wielkoluda. Tamten zgiął się lekko, lecz cios nie zrobił na nim aż tak dużego wrażenia. Warknął wściekle unosząc swoje wielkie jak skały pięści do góry. Rodrick wykonał spektakularne salto do tyłu, wypuszczając jednocześnie trzy shurikeny w kierunku rzeźnika. Jeden trafił w oko pana Gorlika, dwa pozostałe w jakieś postronne osoby.

Frag wycodził przez zęby w stronę maga:

– Zrób coś do cholery!

– Jeszcze nie teraz, to nie jest prawdziwe zagrożenie – wyjęczał Mauricius chowając się pod stołem.

– A kiedy, jak nie teraz? Gdy nas zabiją?

Jakimś sposobem rzeźnik zdołał przygwoździć do ściany Rodericka, i okładał go teraz pięchą po twarzy. Varian dobył miecza i wskoczył na stół, jednak w jego kierunku rzuciło się trzech zbrojnych, którzy do tej pory spokojnie siedzieli przy jednym ze stołów.

– Hola złodziejski psie! – zawołał jeden z nich. – Skoro pan Gorlik twierdzi, że okradł go wasz druh, to coś na rzeczy jest!

Frag zaczął rozważać wariant z ucieczką do kibla, a następnie okienkiem na dwór. Gdyby dobrze konia spał, za tydzień byłby w Bragville i śmiałby się z tego wszystkiego do rozpuku, wylizując wino z pępka egzotycznej tancerki. Jednak kiedy próbował wstać, wypity w dużej ilości alkohol zakręcił jego głową, a potem całym jego ciałem. Opadł bezsilnie na krzesło, i zaczął szukać wzrokiem maga, by raz jeszcze spróbować przemówić mu do rozsądku.

Ku jego zdumieniu Mauricius nie siedział już pod stołem, a sięgał po stojącą na komodzie lampę olejową. Gdy chwycił ją, odwrócił się w stronę rzeźnika, i zagrział gniewnie:

– Puść go kurwi synu, bo spalę całą tę budę razem z wami wszystkimi! A gdy będziecie biegać jako te ludzkie pochodnie, a oczy wasze zagotują się, i wypłyną na wierzch, poznacie cierpienie jakiego nawet namiastki w życiu nie zdołaliście uświadczyc!

Na sali zapanowała cisza. Rzeźnik dalej trzymał Rodericka za gardło, jednak jego pięść aktywna zamarła w powietrzu. Wszyscy patrzyli na maga, który oddychał głęboko, rozglądając się szalonym wzrokiem po sali.

– Dobra! – Z za kontuaru wyszedł facet w białym fartuchu. Zapewne właściciel karczmy. – Uspokójmy się wszyscy! Nie pozwólmy, by emocje

przemawiały za nas.

Zbliżył się do rzeźnika i poklepał go po plecach.

– Puść go Alfie. A wy wypierdalajcie! I żebym was tu już nigdy więcej nie widział. Jasne? Wypierdalać! Już! Sio, sio.

Wypuszczony Rodrick opadł na ziemię, próbując złapać oddech. Varian szybko zsunął wszystko ze stołu do płóciennego wora, który przerzucił sobie przez ramię. Frag otrzeźwiał nagle na tyle, by móc o własnych siłach opuścić karczmę. Na samym końcu, cofając się tyłem szedł mag z lampą olejową.

– No co? Chcecie spróbować skurwysyny piekielnego gniewu? – pytał co chwilę jednego czy drugiego gościa. – Chcecie spłonąć świniobjebcy? Wasze matki dawały się jebać świniom!

– Daj już spokój. Już starczy... – Frag pociągnął go za ramię.

Po chwili wszyscy byli już na zewnątrz, a Rodrick, który po oswobodzeniu dostał największego napędu, zdołał już nawet wyprowadzić konie ze stajni.

– Chodźmy stąd – powiedział. – Oni tu chyba nie słyszeli o gościnności.

Odjeżdżając dostrzegli jeszcze pana Gorlika trzymającego się za zakrwawione oko. Z drugiego, jedyne ocalałego oka, płynęły szerokim strumieniem łzy.

Rozdział piąty

Otworzył oczy i poczuł przeraźliwy chłód. Wszystko wokół pokryte było szronem, a z jego ust unosiły się kłęby pary. Od razu uświadomił sobie, że szczęka zębami, i że dygocze cały.

– Chłopaki! Chłopaki obudźcie się – wyszeptał drżącym głosem.

– Aa... kurwa! – Varian podniósł głowę na zeszywniałym z zimna karku. – Ja pierdolę, co jest? Co jest kurwa?

Rodrick i Mauricius również zaczęli kłąć. Był środek nocy, a przecież gdy zasypiali, pogoda była dość ładna. Teraz cały świat był biały od szronu pokrywającego trawę, drzewa i wszystko wokół. Oni sami wyglądali jak lodowe elfy.

Frag od razu przypomniał sobie historię starca z karczmy.

– Xelath!

– Co ty pierdolisz? – Rodrick wstał i zaczął podskakiwać, żeby rozgrzać mięśnie. – Do góry jest jeszcze ze trzy dni drogi!

– On już wie o nas – odezwał się mag spokojnym głosem. – Xelath to potężny czarodziej. Może obserwuje nas właśnie teraz. Może był w karczmie pod postacią jakiegoś chłopca. Może nawet był tym starcem, z którym rozmawialiśmy... On wie!

– No to może byś się jakoś przydał i wyczarował nam nowe ognisko?

– Varian wskazał na poczerniałą kupkę drewna, która teraz pokryta była białym nalotem. – Czy ty cokolwiek potrafisz?

Mauricius milczał, jakby chciał za wszelką cenę pokazać, że nie musi

odpowiadać na tego typu durne zaczepki. Rodrick sam rzucił się do rozpala-
nia ogniska, jednak rozpałka, którą trzymał w torbie, była tak zlodowaciała,
że nie chciała się zająć od krzesiwa.

– Co za niefart – mruknął Frag zawijając się w dodatkowy koc. – Je-
żeli tak to będzie wyglądało, to facet wykończy nas, nim dotrzemy do jego
siedziby. Wykończy nas ekonomicznie, bo będziemy musieli od teraz sypiać
w gospodach, jeśli zamierza nam odwalać taki numer co noc. Chyba
nie sądzicie, że odważę się jeszcze zmrużyć oko pod gołym niebem?

– Nic nie sądzimy. – odparł Varian drapiąc się po głowie.

Mauricius zaczął odprawiać jakieś rytuały, które przywodziły na myśl
modły na część bóstw solarnych. I chyba były one dość skuteczne, bo
o świcie pokazało się słońce. Z początku jego promienie dawały niewiele
ciepła, jednak kiedy wyniosło się na wysokość pięciu palców, lód zaczął
odpuszczać. Zrobiło się przyjemnie, aczkolwiek wszystko było wilgotne
i ogniska w dalszym ciągu nijak nie dało się rozpaścić.

Uczestnicy wyprawy ochlapali się w pobliskim strumyku dla odświe-
żenia, i wyruszyli w dalszą drogę, by nie marnować czasu. Jednak jadąc
traktem, co pewien czas natykali na ukryte w cieniu zamarzniete kałuże.

– Wygląda to tak, jakby czarownik osobiście pofatygował się do nas,
żeby dać nam do zrozumienia, że nie za bardzo chce z nami gadać – mruknął
Varian.

– Pofatygował, albo rzeczywiście był w karczmie, a później szedł za
nami – odparł Frag. – Po co ja się w ogóle na to zdecydowałem?

– Po co? Bo w gruncie rzeczy jesteś biedakiem – odparł Varian, które-
mu humor pomалу wracał. – Wszyscy jesteśmy nędzarzami mój przyjacielu.

I jedyny sposób, aby to zmienić, to wyjść ze strefy komfortu, zrobić coś, co napawa cię szczerym przerażeniem. Powiedz, czy ta wyprawa napawa cię szczerym przerażeniem?

Frag zastanowił się przez chwilę. A właściwie chciał, aby to wyglądało, jak by się zastanawiał. W rzeczywistości usiłował przypomnieć sobie tę blondynę o pełnych kształtach, z którą spędził jeden z ostatnich wieczorów w Bragville. Jeśli to była bieda, to on mógł być biedakiem do końca życia.

– Tak, naprawa mnie przerażeniem – rzekł w końcu.

Pomyślał, że to niesprawiedliwe, że jednego dnia człowiek żyje sobie spokojnym, ustatkowanym życiem, a drugiego zostaje postępowo wcielony do samobójczego komanda. I to w imię czego? Pieniądzy?

Jego rozmyślania przerwał Rodrick, który jechał na czele grupy. Zatrzymał się nagle i uniósł zaciśniętą pięść w górę.

– O co chodzi? – mruknął Frag. – To niby ma być jakiś znak, czy co? O co chodzi?

– Co jest? Co tam zobaczyłeś – zapytał Varian i podjechał na przód.

Na środku drogi stał krasnolud z bardzo niewyraźną miną. Dłonie opierał na trzonku wielkiego topora, swobodnie stojącego na ziemi.

– Powitać, o co chodzi? – zapytał Varian. – Jesteśmy tylko strudzonymi wędrowcami, którzy zmierzają w stronę Elmville, ostatniego ludzkiego przysiółka przed Górą Smoczymi.

– Powitać – odparł krasnolud. – Jestem Herman, wkurzony krasnolud. W tym miejscu zaczyna się Park Krajobrazowy Gór Smoczych. Pobieram opłaty i rozdaję mapki.

Uczestnicy wyprawy spojrzeli po sobie. Gdzieś tam pojawiły się

dyskretne uśmieшки mające sugerować, że sytuacja jest raczej komiczna, niż problematyczna.

– Ekhm... No dobrze Hermanie – odparł Varian. – Nie chcemy sprawiać żadnych trudności. Chętnie uiścimy wszelkie opłaty i pobierzemy mapki. Jak widać, jest nas tu czterech. Ile się należy?

Krasnolud wyjął z chlebaka tabliczkę i szybko porachował coś w pamięci.

– Dziesięć oboli za łebka, czyli osiemdziesiąt.

Frag rozejrzał się po swoich towarzyszach. Było ich czterech, a cztery razy dziesięć, o ile dobrze pamiętał, wynosiło coś koło czterdziestu.

– Czy aby nie omyliłeś się w swych porachunkach? – zapytał.

– Koleś, co ty odwalasz? – Rodrick nie wytrzymał. – Jest nas tylko czterech.

– A konie? Macie konie. – Herman wyciągnął w ich kierunku oskarżycielski palec. – Łącznie jest was ośmiu. Głównie to konie depczą po parku niszcząc małe roślinki i skubiąc trawę. Konie też srają i szczają. Wy z kolei zrobicie pewnie jakiś postój, i też zapewne pozostawicie po sobie niezły gnój. Mam uwierzyć, że pozbieracie po sobie wszystkie śmieci? Że nie znajdzie jutro sznureczków od szynki albo korków od wina?

– Wypierdalaj! – zachnął się Rodrick i sięgnął po miecz.

– Nie radzę. Jestem urzędnikiem państwowym. – Wkurzony krasnolud nawet nie drgnął. – Jestem jednym z osiemdziesięciu pięciu, którzy osobiście odbierali awans od Varaka IV w dniu oficjalnego otwarcia Parku Krajobrazowego. Jeśli podniesiecie na mnie rękę, to... od razu banicja. Śmierć. Kaplica.

Varian otworzył sakiewkę i wysypał z niej kilka monet. Większość pieniędzy zostawili w ostatniej gospodzie, tamtej, z której musieli się ewakuować po wybrykach Rodricka. W sakwie drużyny znajdowało się pięć srebrnych oboli, czyli o jakieś siedemdziesiąt pięć za mało.

– Nie dałoby się tego jakoś inaczej załatwić? – zapytał Varian z nadzieją w głosie. – Jakoś coś?

– Jakoś coś co? – zapytał Herman przenosząc ciężki topór z ziemi na ramię. – Oferujecie mi łapówkę czy usługi seksualne? Ja nie jestem z tych. No chyba że... – Zmierzył wzrokiem Mauriciusa Drakenusa, którego rzadka broda powiewała na wietrze niczym suchy krzak.

Wszyscy spojrzeli na maga.

– No co? – jęknął Mauricius.

Varian westchnął głęboko.

– Jak do tej pory nie miałeś zbyt dużo okazji, żeby przysłużyć się drużynie.

– Nie miałem? A w gospodzie? Kto was ocalił w gospodzie? – Mauricius zapluł się. – Kto was wyciągnął z tego bagna, w które wpakował nas ten szajbus? – Wskazał na Rodricka. – To on powinien przysłużyć się drużynie. Też jak do tej pory nie miał zbyt dużo okazji!

– Ja?

Herman spojrział w stronę Rodricka, i zaczął go taksować, drapiąc się po brodzie.

– Nie ma mowy, odpada! – zachnął się Rodrick. – Krasnolud powiedział, że ty mu się podobasz.

– Jeb się! – odparł mag.

– Ty też możesz być chudzielcu – odparł Herman.

– Widzisz? Ty też możesz być. – Mauricius wyraźnie się ożywił.

– Pierdol się, bo cię zabiję!

– Panowie, spokojnie! – wtrącił Varian. – Zrobimy losowanie! Ten, kto wyciągnie najkrótsze źdźbło trawy, pójdzie z krasnoludem w krzaczory.

Zerwał garść trawy i starannie wyselekcjonował cztery źdźbła o różnej długości, i na tyle wyraźnej różnicy, by nie pozostawić pola do dalszych dyskusji. Chwycił je tak, by nie było widać ich długości, i podał każdemu po kolei.

– No dobra – jęknął żałośnie Frag. – Wygląda na to, że moja jest najkrótsza.

– Cóż przyjacielu. – Varian poklepał go po plecach. – Wygląda na to, że tobie przypadnie zaszczyt poświęcenia dla misji tego, co najcenniejsze – swojej orientacji. Poświęcisz ją chłopie. Już na zawsze. Nic nie będzie takie, jak dawniej...

– Odwal się, bo zaraz wymiksuję się z tej całej wyprawy.

Frag nie był zadowolony. I rzeczywiście kusilo go, by rzucić wszystko w cholerę, wsiąść na konia i odjechać. Nie dogoniliby go. A gdyby nawet dogonili, to co by mu zrobili? Przecież by go nie zabili. Jedyne, co go powstrzymywało, to wizja niesamowitego bogactwa. Dwadzieścia pięć złotych sestercji to prawdziwy majątek. Choć oczywiście zanim by go dostał, mógł jeszcze ponieść śmierć. I to niekoniecznie przyjemną. Choć jak by się nad tym zastanowić, to śmierć chyba rzadko bywa przyjemna...

Zsiadł z konia, odpiął miecz, i ruszył ze spuszczoną głową w stronę zarośli. W ślad za nim poszedł zadowolony krasnolud. Pozostali sprowadzili

konie z drogi i rozsiedli się na trawie. Rodrick wyjął bukłak z winem i puścił go w kółko.

– Szkoda chłopca – mruknął. – Ale z drugiej strony... Jak pomyślę sobie, że mogło paść na mnie... Nie wiem, czy wykazałbym się taką samą żelazną wolą. Pewnie raczej pchnąłbym tego krasnala w gardło sztyletem, i tyle by było. Frag zostawił miecz?

– Zostawił – odparł Varian. – Ja tam mu ufam. To człowiek z zasadami. Oczywiście nie wobec sakwiarzy...

Mianem „sakwiarzy” określali oni pospólstwo, którego jedynym celem istnienia było chodzenie z sakiewkami po ulicach.

– Wierzę, że Frag zrobi to, co do niego należy – dodał po chwili, odpalając papierosa. – Już kiedyś mieliśmy taką sytuację, że musiał bzyknąć trollicę. Stał na wysokości zadania, choć przez kilka dni musieliśmy go poić lekkim rosółkiem... Mam nadzieję, że ten krasnolud nie zrobi mu krzywdy. Dużo słyszałem o krasnoludach.

– Dajcie spokój – wtrącił się mag, który do tej pory milczał, zapewne rozmyślając nad swoim losem. – Dajcie człowiekowi spokój. To naprawdę szlachetne z jego strony. Sam osobiście przyrzekam, że jeśli zajdzie taka potrzeba, roztoczę nad nim swoją troskliwą opiekę. Znam zioła i różne masaże.

– Jak znasz masaże, to mogłeś się krasnoludem zająć. – Rodrick pociągnął kilka głębokich łyków wina. – To ciebie chciał krasnal, i gdybyś od razu się zgodził, nie byłoby trzeba ciągnąć słomki...

Rozmawiali tak dobrą godzinę, kiedy w końcu pojawił się Frag zapijający spodnie.

– Jedziemy – powiedział tylko i wsiadł na konia.

– Nie chcesz przepłukać ust?

– Jedźmy.

Nie odjechali jeszcze stu metrów, gdy Rodrick nie wytrzymał.

– I jak było? – zapytał.

– Nie najgorzej – odparł Frag. – Herman była kobietą.

– Co?

– To krasnoludzka kobieta. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak chłop, ale tam na dole wszystko miała... No mniej więcej tak, jak być powinno.

Dalej jechali już w milczeniu.

Rozdział szósty

Frag próbował przez pewien czas być uczciwym człowiekiem. Jedyne, co osiągnął, to gigantyczne długi.

Kto by przypuszczał, że pożyczone pieniądze należy oddać?

– Mówiliście, że to raptem trzy dni drogi od granicy Parku Krajobrazowego – narzekał Rodrick – a my już jedziemy cztery, i mam wrażenie, że góry są tak samo daleko, jak były wcześniej.

– Nie narzekaj – odparł Varian. – Jest ładnie, słońeczko świeci, ptaszki ćwierkają. Rozejrzyj się chłopie. Ciesz się życiem.

Rzeczywiście otaczający ich krajobraz był niezwykle malowniczy. Droga, którą podążali, wyla się pośród niskich gajów, porastających łagodne zbocze wzgórza. Choć Góry smocze w istocie majaczyły gdzieś w oddali, najbliższa okolica była pofalowana i daleka od płaskiej nudy, znanej im doskonale z środkowowschodniej części Niuatry. Na sąsiednich wzgórkach widzieli winnice, i malowniczo zlokalizowane domostwa, których jedna ściana zawsze ustawiona była na wschód lub na zachód. Nigdy na południe.

Frag pomyślał, że nie ma nic przyjemniejszego, niż budzić się rano i czuć na twarzy promienie słońca wpadające przez szeroko otwarte okno, za którym rozciąga się opadający łagodnie stok winnicy. Gdy w lecie słońce mocno ogrzewało krzaki winorośli, zapach owoców musiał być oszałamiający. Jeszcze tylko dobra, pracowita kobieta u boku, i właściwie niczego więcej by mu nie było trzeba.

Zaraz jednak przyszło otrzeźwienie, gdy przypomniał sobie, jak razu pewnego spróbował takiego uczciwego życia. Zmarkotniał, a dobry humor opuścił go.

– To dobre dla wsiurów – mruknął.

– O co ci chodzi? – Varian oddychał głęboko, pełną piersią. – Cudowna okolica.

– Wolę nocny gwar miasta i zapach bruku.

– Zapach bruku?

– Pachnie jak okazja. – Frag wyjął z chlebaka ostatni, zmięty papieros.

– A skoro już o tym mowa, to co zamierzacie zrobić ze swoją częścią nagrody? Jakies plany? W coś zainwestujecie?

– Ja zainwestuję w masę prostytutek i wina – odparł Rodrick, wzmacniając swój przekaz jowialnym śmiechem. – Naprawdę dużo prostytutek i wina. Będę ruchał, aż mi ptaszek odpadnie.

– Czegóż innego, można by się po tobie spodziewać. A ty Varian?

Nieformalny przywódca drużyny zastanowił się przez chwilę.

– Ja to bym właśnie taki dom z winnicą chciał mieć.

– Szybko byś się znudził i zacząłbyś kraść po okolicy – odparł Frag. – Nie mówi, że nie. Znam cię, znam siebie, znam ten fach. Zacząłbyś kraść i przegnaliby cię. A nasz arcymag wojenny? Mauricius? Kupiłbyś laboratorium i warzyłbyś leki na potencję? To podobno bardzo dochodowy biznes. Słyszałem, że niejeden z tego pałac pobudował, i kilka powozów kupił.

Mag spłoszył się nieco.

– Zaraz tam na potencję... Różne proszki można przecież sprzedawać.

– No tak. Wy magowie, to tylko byście proszki sprzedawali. A jak trza

komuś przylać ognistym pociskiem, to już nie ma komu.

– No proszki. Co w tym złego?

– Nic. Ja tylko mówię, że czasami też trzeba komuś przylać.

– A ty coś taki markotny się zrobił? – Varian podjechał do niego bliżej. – Napić się musisz znowu czy co? Ciesz się podróżą.

– A weź się odpiardol. Rodrick ma rację. Ciągnie się ta podróż jak flupy z pizdy chorej dziwki. Gdzie te mapy macie?

Zatrzymali się na poboczu. Varian wyjął mapkę, którą otrzymali od Hermana, wkurzonego krasnoluda. Wszystko jakby się zgadzało, ale się nie zgadzało. Proporcje były nie takie, jakieś odcinki trasy były za długie, inne wydawały się za krótkie.

– Musiał to rysować ktoś naprawdę niedojebany – mruknął Frag pod nosem. – Jakiś pierdolony niedorozwój.

– A odkąd z ciebie taki kartograf, co? – Varian skrzywił się, jakby wypił słoje soku z cytryny.

– Odkąd musiałem zrobić mapę twojej starej dla twojego starego, żeby cię mogli począć. Bo sam by nie ogarnął.

– Nie musisz mnie od razu obrażać mojej matki!

– A ty nie musisz od razu uśmiechać się do słoneczka jak niedojebane dziecię. Te mapy to fejki. Niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Ta dziwka nas okłamała.

– Cóż, ludzie różne rzeczy robią, żeby zaruchać – rezolutnie wtrącił Rodrick. – A może nasz mag coś na to pomoże? Może jakiś czas geolokalizacji? Gwiazdy wskazujące drogę, coś? Hm?

– Na mnie nie patrzcie, mana mi się skoczyła – odparł Maurycius

wskazując pustą butlę po winie.

– Wygląda na to, że będziemy musieli spytać kogoś o drogę. Może w tym domu? – Frag wskazał najbliższe domostwo, umieszczone malowniczo na stoku pokrytym winoroślami.

– Dobra, byle szybko – odparł Varian. – Zaczyna się ściemniać.

Rzeczywiście słońce podejrzanie szybko opadło nad horyzont, pokrywając całą okolicę karmazynową poświatą. Wskazany przez Fraga dom sprawiał wrażenie lekko zaniedbanego, jednak ktoś krzątał się po ogrodzie. Mężczyzna w białej koszuli na ich widok odstawił grabie i zniknął we wnętrzu izby.

– Powitać! – krzyknął za nim Varian, jednak chłop najwyraźniej nie usłyszał. – Cholerny wieśniak...

– Podjedźmy bliżej – mruknął Frag. – Może udałoby się tu zanocować za darmo. Nie chciałbym spać pod gołym niebem tak blisko Gór smoczych.

– Racja.

Przywiązali konie do drewnianej belki przy szopie i ruszyli w stronę domu, rozglądając się z ciekawością po obejściu. Zwierząt żadnych nie było, za to w ogrodzie rosło sporo dyń.

– Chyba lubią dynie – rzekł Mauricius, który jednak jeszcze trochę zapasów many miał.

– Powitać! – krzyknął Varian. – Jest tu kto? Proszę pana! Może się wystraszył – dodał po chwili.

– Może się wystraszył Rodricka – powiedział Frag. – Po kiego grzyba ci dwa miecze?

– Dwa to o jeden więcej, niż... jeden – odparł Waryjczyk.

– Nie da się ukryć.

Drzwi domu były spróchniałe i leżały na podłodze, jakby od bardzo dawna nikt się nimi nie przejmował. Na wszystkim leżała gruba warstwa kurzu, co nie umknęło uwadze Variana. Przejechał palcem po parapecie, a następnie przyjrzał mu się badawczo.

– Dziwne.

– Dziwne, że jest syf? Dla mnie to normalne. – Frag zaczął grzebać w swoim chlebaku w poszukiwaniu czegokolwiek.

– Dziwne, że podłoga pokryta jest kurzem, a nie widać śladów tego człowieka.

Dopiero teraz wszyscy przyjrzeni się deskom, by z przerażeniem odkryć, że ich nieformalny przywódca ma rację. Rodrick zaczął opukiwać futrynę.

– Może gdzieś tu jest jakieś tajne przejście?

– Srajne. Tajne przejście jest w twojej dupie – warknął Frag. – Wchodzi tamtędy Mauricius, jak śpisz.

– O co ci kurwa chodzi? Jesteś dziś wyjątkowo nieuprzejmy – strofował go Varian jednocześnie usiłując zapalić kaganek od krzesiwa. – To musiał być duch.

– Sruch. Duch w twojej dupie.

– Mauricius, daj mu jakieś proszki na syndrom odstawienia.

Mag pogrzebał w swojej torbie i wydobył niewielkie, skórzane zawiątko, pokryte rzadkimi, poskręcanymi włoskami. Wysypał sobie na dłoń odrobinę burego proszku.

– Zażyj to nosem – wyszeptał podając Fragowi lek. – Nie wiem czy

pomoże, ale na pewno nie zaszkodzi.

Złodziej posłusznie zażył lek, po czym wzdrygnął się jak koń, który się złał. W tym czasie Varian zniknął już we wnętrzu domu z odpalonym kagankiem. Jego buty zostawiały bardzo wyraźne ślady, co utwierdziło tylko w przekonaniu resztę drużyny, że postać w białej koszuli, którą wcześniej widzieli, rzeczywiście mogła być duchem.

– Ja się trochę cykam – powiedział mag.

– To poczekaj z pozostałymi dziewczynami na zewnątrz. – Frag dobył miecza i ruszył różnym krokiem do ciemnego wnętrza, rozświetlanego jedynie pełgającym płomykiem kaganka. – Jak go znajdę, wyciągnę z niego informację, jak daleko do Góry słoniowej.

– I co mu zrobisz? – Zapytał Rodrick. – Obrazisz jego matkę?

– Jeśli będę musiał...

Mocny kopniak otworzył drzwi do jednej z izb, które przez ostatnie lata musiały być zamknięte. W powietrzu uniosła się chmura kurzu i obaj zaczęli kaszleć.

– Mam nadzieję, że włożenie tu się opłaci – powiedział Varian. – Nie znoszę pajaków. A tu na pewno są pajaki.

– I flupy z pizdy na pewno też – dodał Frag rozglądając się ciekawie po starych półkach. – Co to do cholery jest?

Wszędzie stały słoje. W niektórych był płyn, w innych płyn i coś jeszcze. Może to były przetwory z dyni, a może martwe płody w zalewie. W każdym razie szli powoli oświetlając sobie drogę kagankiem, a Frag coraz bardziej odpływał.

– Musimy dotrzeć do światła. Tylko ono nas wybawi.

– Ja sędzę, że nie spotkamy tu nikogo żywego. – Varian zignorował ostatnią uwagę. – Wynośmy się stąd.

Już miał się obrócić na pięcie, gdy nagle przed nimi ukazała się lekko rozmyta twarz mężczyzny.

– Zaczekajcie – powiedział. Choć głos dochodził jakby z oddali, jakby z jakiejś podziemnej groty. – Nie odchodźcie.

– O kur...

– Tutaj nie damy rady kupić precli – stwierdził Frag.

– Pomóżcie mi – powiedział duch. – Uwolnijcie mnie.

– Uwolnić... Uwolnić od czego? – Potykając się o martwe szczury, Varian rozpoczął odwrót. Kaganek w jego rękach zgasł, ale jakimś cudem w piwnicy nadal było jasno. – Z chęcią byśmy pomogli, ale... ale...

– Zjedliśmy za dużo trucizny – z pomocą przyszedł mu Frag. – Niebawem nasze wnętrzości zaczopują się na amen. Potrzebujemy iść do światła.

– Oni są na zewnątrz – powiedział mężczyzna, a jego twarz rozplynęła się w powietrzu.

– Na zewnątrz? – Varian nie zdążył odwrócić się, gdy nagle zza ich pleców dobiegł przeraźliwy krzyk. – Rodrick! Mauricius!

Dobył miecza i rzucił się w szaleńczym pędzie do drzwi. Frag nie wiedząc, co się dzieje, zrobił mniej więcej to samo. Mniej więcej. Zaczął się rozbierać.

Dom był otoczony ze wszystkich stron przez istoty przypominające owady wielkości człowieka. Miały czarne, chitynowe pancerze, oraz mnóstwo odnóży i czułków. Nieprzyjemne chrobotanie niosło się echem po okolicznych wzgórzach.

– Magu, czy teraz sytuacja jest odpowiednio groźna? – zapytał Varian wypadając na zewnątrz. – Rzućże jakiś czar do sflaczałej pizdy!

Mauricius spojrział na niego smutnym wzrokiem.

– Ja... ja nie potrafię – wymamrotał wpatrując się niewidzącym wzrokiem w jeden punkt. – Ja nie potrafię czarować. Jestem oszustem.

– Zdołałem się już domyślić. Ale ja w ciebie wierzę. Wierzę, że coś tam w tej łepetynie masz, i że jeśli się postarasz, dasz radę wykrzesać z siebie jakieś mordercze zaklęcie!

Krąg owadów zacieśniał się coraz bardziej. Rodrick stał z dwoma mieczami przed domem, rozglądając się pomału dookoła. Nie było najmniejszych szans na ucieczkę.

– Wpierdoliliśmy się, jak śliwka w gówno! – stwierdził rzeczowo. – Czy ta ofiara losu zdecydowała się już na jakieś ogniste tornado, czy coś? Bardzo by nam się teraz przydało ogniste tornado.

– Spróbuj – Varian położył dłoń na ramieniu maga. – Wiem, że coś tam pamiętasz.

Maurucius podniósł się i powolnym krokiem, jakby szedł na ścięcie, zbliżył się do Rodricka, odsuwając go na bok. Owady były coraz bliżej. Mag uniósł obie ręce do góry, i zaczął inwokować w jakimś zapomnianym języku.

Zerwał się potężny wicher. Liście zaczęły krążyć wokół maga. Varian ukrył się w załom ściany domostwa. Na zewnątrz pojawił się także Frag, który padł na kolana i uniósł ręce ku górze.

– Nareszcie! Nareszcie tu są! Chwała naszemu panu! – zawołał, po czym padł na ziemię i zasnął.

Rodrick również wycofał się w stronę domostwa. Nie wiedział, co

z tego wszystkiego wyniknie, ale wolał nie stać zbyt blisko maga, na wypadek, gdyby jakaś siła rozerwała go na strzępy. A widział już raz taką sztukę.

Mag wykrzykiwał zaklęcia dalej. Choć Varian nie znał owego języka, zdołał wychwycić, że jest to jedno zdanie powtarzane w kółko, za każdym razem z troszkę innym akcentem. Najwyraźniej Mauricius próbował rozmaitych kombinacji.

– Jasny gwint! – Złodziej wcisnął się jeszcze bardziej w ścianę, bo wiatr był coraz mocniejszy.

– Czy on na pewno wie, co robi? – krzyknął Rodrick.

– Wątpię!

Nad głową maga otwarła się świetlista dziura, z której wylatywać zaczęły małe ogniki. Porywane wiatrem tworzyły ogniste kręgi wokół maga, a z każdą chwilą ich zasięg stawał się coraz większy. Pierwsze owady, które zbliżyły się do ognistych kręgów, poczuwszy palący żar, cofnęły się odruchowo. Jednak jeden czy dwa podeszły za blisko, i w powietrzu pojawił się zapach spalenizny.

– Płońcie skurwysyny! – zawołał Roderick unosząc pięść do góry. – To działa! Cha, cha! To działa!

Jeszcze kilka insektoidów zbliżyło się do maga, lecz posmakowawszy ognistych kręgów, wycofały się gwałtownie. Unosił się za nimi dymek świadczący o tym, że nie obyło się bez uszkodzeń fizycznych.

W kulminacyjnym momencie mag skierował swe dłonie w stronę największej chmary owadów, i dorzucił jakiś nowy element. Wirujące płomienie skupiły się teraz w jedną kulę otaczającą jego dłonie, a następnie wystrzeliły w stronę skupiska napastników. Zasyczało, zaskwierczało,

zaśmierdziało, i ze skupiska owadów pozostała tylko góra drgającego szmatyicznie mięsa.

– Brawo! Barwo! Hurra! – zawołał Rodrick, podrzucając swoje miecze.

Varian zachował więcej dystansu. Podeszedł do Mauriciusa, nie tracąc jednak z oczu bestii, które cofały się teraz w cień.

– Nie ciesz się tak. Nie odchodzą jeszcze!

– Sraka! – odparł Rodrick.

– Schowajmy się we wnętrzu domu – zaproponował mag, który sprawiał wrażenie całkowicie wyczerpanego.

Varian podtrzymał go pod ramię, i wspólnymi siłami wycofali się do środka, zbierając po drodze śpiącego Fraga. Rodrick został w drzwiach i monitorował sytuację. Czary maga z pewnością zrobiły wrażenie na przeciwnikach, jednak nie na tyle duże, by odpuścili.

– Co za chujstwo – mruknął pod nosem i splunął z pogardą.

Rozdział siódmy

Zdarzyło się raz pewnego, że Grey wpadł na trop Fraga i zapragnął wykastrować go za splamienie honoru córki. Oprawcy mafioza stali już pod drzwiami mieszkania, w którym Frag się ukrywał, jednak ten wykazał się niemożliwym sprytem, i po gzymsie przedostał się do mieszkania położonego obok. Tam ulokowany był niejaki Alfredo Veneri, jeden z młodszych synów Bonego Veneri, którzy w Niuatrze poszukiwali nowych kontrahentów.

Alfredo pomógł Fragowi ukryć się przed siepaczami, a potem zaprzyjaźnił się z nim, i razem zaczęli prowadzić drobne interesy. Tak Frag poznał świat przygranicznego biznesu. Stał się posiadaczem niewielkiej fortuny, którą z dużym zapalem usiłował stracić przez następne dwa lata...

– Żyjesz?

– Co?

– Czy żyjesz pytam?

– Kto ma żyć?

Ciemność i chłód, które go otaczały, były tak potworne, że Frag przestraszył się, że znalazł się w mocy Xeltaha.

– Zabijesz mnie teraz? – zapytał.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – odparł głos. Po chwili do Fraga dotarło, że głos należał do Variana. – Zachowywałeś się wczoraj jak ostatni dupek, ale po prochach od naszego arcymaga trochę cię spacyfikowało.

– Czy to znaczy...

– Przespałeś bitwę. Przespałeś też wiekopomny moment, kiedy to Mauricius okazał się być wielce utalentowanym magiem bojowym. Przespałeś ogniste tornado i takie tam...

Świat powoli nabierał barw. Frag leżał na podłodze w jakiejś piwnicy. Wszędzie wokół stały słoje z przetworami, a jego towarzysze siedzieli na prowizorycznych siedziskach, i obgryzali resztki dziczyzny.

– Co się stało? – zapytał zachrypniętym głosem. – Gdzie ja jestem?

– Zachciało ci się pytać tubylców o drogę i trafiliśmy do jakiegoś przeklętego domostwa – wyjaśnił zwięźle Rodrick, wydłubując resztki mięsa spomiędzy zębów nożem. – Ale na szczęście sytuacja jest już ustabilizowana. Wprawdzie na zewnątrz czeka ich jeszcze kilku, ale przewaga zmniejszyła się, i teraz to my stanowimy zagrożenie dla nich. Skoczę może po jeszcze jednego? – Waryjczyk wstał i dobył swoich dwóch mieczy, po czym zniknął w drzwiach.

– Do Góry słoniowej zostało nam zapewne jeszcze dzień lub dwa – zaczął Varian – więc powinniśmy przygotować się tak, by po opuszczeniu tego miejsca nie robić już dłuższych postojów.

– Byłoby cudownie – mruknął Mauricius.

W tym samym momencie z zewnątrz dotarły do nich jakieś straszliwe dźwięki, a po chwili pojawił się Rodrick, taszcząc za sobą cielsko gigantycznego robala.

– Ten będzie dla ciebie.

W pomieszczeniu, w którym byli, tliło się niewielkie ognisko, obok którego leżały fragmenty poczerniałych pancerzy chitynowych oraz sterta

odnóż. Frag poczuł, że do gardła podchodzi mu gruda treści żołądkowej.

– Nie panikuj. Smakują jak kurczak – zaśmiał się Varian.

– Może tak... Ale w tej chwili wolałbym lekkie piwo.

– Niestety, czasem podróże niosą ze sobą pewne niewygody.

Roderick przytrzymał butem głowę wyrywającego się robala, a następnie nożem dokonał dekapitacji. Na deski podłogi rozlała się jadownicie zielonkawa posoka. Frag zwymiotował raz, a potem drugi.

– Naprawdę są gorsze rzeczy na świecie, niż to – pouczył go Varian.

Nabity na patyk kawał mięcha powędrował nad ogień i zaskwierczał wesoło. Zapach z początku był przykry, ale z każdą chwilą stawał się coraz przyjemniejszy, pełen orzechowych nut.

– Musisz napchać żołądek jedzeniem, bo nie wiadomo, kiedy znów przytrafi się taka okazja. Trzeba korzystać.

Frag nie protestował już dłużej. Odczekał chwilę, aż mięso zmieniło kolor z przezroczystego różowego na biały, i chciwie złapał podany mu przez Rodricka kawał. Mięso było gumiate i trąciło nieco jakąś egzotyczną nutą, jednak w ostatecznym rozrachunku przynosiło ulgę wyczerpanemu organizmowi, zwłaszcza wykręconemu spazmami żołądkowi.

– Niezłe.

– Prawda? Odrobina czosnku pewnie działałaby tu cuda, ale i tak nie jest najgorzej – odparł Varian. – W ogrodzie rosną tylko dynie...

– Dynie! – Frag przerwał jedzenie. – Teraz sobie przypominam! Dom, dynie, duch... Co z tym duchem?

– Wyjątkowy paskud – odparł Mauricius. – Zwabił nas w tę pułapkę i zaraz potem pojawiły się robale. To chyba takie typowe zagranie. Żaden

duch. Raczej rodzaj projekcji będącej wabikiem na łatwą zdobycz. Rozumiecie: dynie, dom, ciepła strawa, a tu nagle wpada stado robactwa i koniec. Nie ma życia.

Rodrick poklepał go po ramieniu.

– No, ale nas uratowałeś. Jesteś prawdziwym magiem bojowym, nie jakimś tam przebierańcem. Teraz jestem spokojniejszy.

– I nie będziesz w nocy podczas snu zakradał się do mojego pośłania i przykładał mi noża do gardła?

– Obiecuję, że koniec z tym. – Rodrick położył rękę na sercu. – Teraz jesteś dla mnie jak pełnoprawny członek drużyny.

– Co cztery członki to nie jeden – mruknął Frag, przeżuwając mięso robala.

– Powiedziała Sasza Grey – dodał Rodrick.

– Hej, też ją znałeś? Pewnego razu musiałem uciekać z miasta...

Z ogrodu dotarł do nich jakiś dźwięk. Jakby ktoś ciskał małymi kamyczkami w okiennicę. Varian wstał i wyjrzał na zewnątrz.

– W ogrodzie stoi jakiś facet – powiedział. – Wbijaj tu gościu!

Roderick wyszedł dla bezpieczeństwa na zewnątrz, by eskortować gościa. Wciąż kilka robali czaiło się pośród bujnych krzewów oraz zabudowań gospodarczych. Mężczyzna, który po chwili pojawił się przed domem, niewątpliwie był w wieku zaawansowanym, choć jeszcze nie na tyle zaawansowanym, by nie mógł poruszać się swobodnie i gibko. Odcinek od furki ogrodowej do drzwi domu przebył niemalże biegiem.

– Co za szczęście! Co za niesamowite szczęście! – wyjęczał, wtaczając się do wnętrza ostatkiem sił. – Powitać.

– Powitać.

– Nazywam się Lucius Gregorius Caleb – przedstawił się wchodząc do pomieszczenia, w którym pozostali palili ognisko i piekli mrówki. – Nie mogę uwierzyć, że udało wam się pokonać te bestie!

– No jakoś się udało – odparł Varian wstając i wyciągając dłoń. – Ja jestem Varian, to jest Frag i Mauricius, Rodricka poznał pan już w drzwiach. Czy możemy jakoś pomóc?

– O czcigodni bohaterowie!

Frag podrapał się po kroczu.

– Ten dom należy do mnie. Musiałem z niego uciec przed dwoma miesiącami, kiedy pojawiły się te cholerne robale... Świat staje na głowie w ostatnich latach. Doprawdy aż trudno uwierzyć w to, co się wyprawia.

– A co się wyprawia? – zapytał Rodrick, który właśnie wszedł do piwniczki, chowając miecz.

– To wszystko! – Wskazał rękami dookoła siebie. – Xelath i tak dalej...

– Zaraz! Xelath mówisz? – Varian zerwał się na równe nogi. – Co o nim wiesz?

Lucius zamilkł, wpatrując się chciwie w skwierczący nad ogniem kawał białego mięsa.

– Częstuj się. – Skinął na niego Frag.

Mężczyzna chciwie wgryzł się w mięso, aż sok pociekł mu po brodzie. Jednak nie chcąc nadużywać cierpliwości swoich wybawców, zaraz przystąpił do wyjaśnień.

– Odkąd ten piekielnik się tu pojawił, wszystko zaczęło zmierzać ku

gorszemu. Głód i bieda, które zapanowały w Niuatrze kilkanaście lat temu to właśnie jego zasługa. Dlatego zacząłem swoje eksperymenty z roślinami szczególnie wartościowymi, i łatwymi w produkcji. Ta farma to wielkie laboratorium. Eksperymentowałem najpierw z wieloma gatunkami roślin. Później skupiłem się na dyniach...

– No dobrze, ale do rzeczy. – Varian odszpuntował antałek z winem, który znaleźli w piwniczce. – Co z tym Xelathem?

– No mówię... Nikczemnik, jakich mało! Głód i bieda to jego wina. To przez to wybuchła ta wojna między Niuatrą a Bergamią. Mówią, że to dlatego, że król Amaron przygotował zamach na księcia Mortena, ale głównie tam wiedzą! To głód i bieda, które wywołane zostały przez zmianę klimatyczną. – Lucius bez ogródek wyrwał Varianowi kubek wina z ręki i przepłukał gardło. – Xelath eksperymentował z magią pogodową. Robił różne dziwaczne rzeczy. I może nawet nie do końca świadomie doprowadził do tego, że na przestrzeni lat zachodziły ledwo zauważalne zmiany klimatyczne. Bardzo niewielkie... Jednak to wystarczyło, by wiosna i lato stały się nieco zimniejsze, a zima i jesień cieplejsze. Wszystko się przemieszało. Rośliny nie wiedziały, jak rosnać. Kiełkowały zimą, i zaraz zabijał je mróz. Potem przychodziła wiosna, i było zbyt zimno. To ta jego cholerna korona...

– Korona? – Varian ocknął się nagle. – Mówisz, że to przez koronę?

– Ona jest źródłem jego mocy. Ale on nie wie, że za każdym razem, gdy jej używa, odciska ona swoje piętno na otaczającej go okolicy... Kiedyś te ziemie były dużo cieplejsze. Dziś świetnie sprawdza się tu hodowla dyni, która przecież normalnie była dojrzała na jesień.

Varian wyszedł na zewnątrz, by zapalić i odetchnąć powietrzem

świeższym, niż to, które zawisło w dusznych murach porzuconego domostwa. Dla towarzystwa wyszedł także Frag, który zapewne liczył, że załapie się na jakieś krańcowanie.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

– Im bliżej Góry słoniowej jesteśmy, tym więcej ciekawych rzeczy się dowiadujemy – mruknął Varian. – Mógłbym przysiąc, że tamten facet w karczmie mówił nam jedynie o wartości kolekcjonerskiej, i o tym, jaki ten klejnot jest piękny i wspaniały. Tymczasem okazuje się, że Xelath odpowiada za wszystko, co złe w Niuatrze, w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci.

– No tak, ale co w związku z tym? – zapytał Frag, wpatrując się chciwie w coraz krótszego skręta.

– To, że gwizdniemy mu tę koronę pozostaje bez zmian. Natomiast co z nią dalej zrobimy? Co zrobimy z samym Xelathem? Cholera, nie wiem. Ja bym mu przejechał nożem po gardle...

– Chcesz nie oddawać korony zleceniodawcy? – Papierosa zostało już naprawdę mało, więc Frag uznał, że warto już zainterweniować. – Obstawisz?

Varian wyjął mu z kieszeni drugiego skręta.

– O kurwa, dzięki stary.

– Wiesz, to jest kupa kasy. Weszliśmy w to dla kasy i właściwie to jest nasz główny motyw. Ale powiem szczerze, że mam w głowie mętlik.

– Ja też stary, ja też. – Frag mocno zaciągnął się kojącym dymem konopnym. W głowie mu się zakręciło, a po całym ciele rozlała się rozluźniająca fala. – Powiem ci, że ja bym zrobił to tak. Nie wiem jeszcze, jak to wyjdzie, ale czarownika bym raczej ukatrupił. Po co ma żyć menda jedna?

Natomiast korony bym nie oddawał. Ni chuja. Nie wiesz przecież, kto to jest ten jeden, co nas tu przysłał. Jeżeli ona rzeczywiście ma taką moc, jak mówi stary, to właściwie nie ma znaczenia, kto ma koronę. Jeżeli tylko nauczy się z niej korzystać, nadal będzie szkodził światu w powolny, zdradliwy sposób. Wiesz, że ja się urodziłem w czasie wojny. Widziałem, jak bergamijskie psy zabiły moich starych. To było straszne człowieku. Straszliwe. W życiu czegoś takiego nie widziałeś, i nie życzę ci, żebyś widział. Wywlekli matkę na dwór i... Ech, szkoda gadać. W każdym razie ja bym tę koronę rozpieczylił na drobny mak. Niech już kurwa nikt nie czerpie korzyści z tego gówna. Dostyc kurwa. Dostyc!

Varian milczał podziwiając gwiazdy. Mrówki robiły nerwowe ruchy pomiędzy krzakami.

– I powiem ci więcej – kontynuował Frag. – Nikt w ogóle nie powinien się dowiedzieć, że taka korona była. Jak nas ktoś zapyta, to powinniśmy mówić, że to ściema. Że czarownik po prostu znał takie różne tricki, ale ponieważ nadział się na miecz... Nadział się na miecz jakieś siedemdziesiąt razy, to ta wiedza poszła psu w dupę, i już nikt nigdy nie będzie mógł z niej skorzystać. Zamek puścić z dymem. Jeśli będą jacyś potomkowie, wyciąć w pień. Niech chuj na chuju nie zostanie!

– A co z nimi? – zapytał Varian wskazując głowę resztę towarzystwa.

– Co z nimi?

– No... Roderick to maniak. Mauricius też. Oni idą głównie dla kasy... Co jeżeli za jakiś czas odezwą się, będą chcieli... No nie wiem, sześćdziesiąt milionów oboli?

– Jebał ich pies! Możemy z nimi porozmawiać. Jeżeli uważasz, że tak

będzie lepiej to porozmawiajmy z nimi. Sam mogę z nimi porozmawiać nawet zaraz, jeżeli tak powiesz. Szczera rozmowa. Stawiamy sprawy jasno. Jeżeli im się nie podoba, niech wracają. No na pewno nie będziemy ich okłamywać. Trzeba postawić sprawy jasno. Wszyscy powinni dokładnie wiedzieć, po co tam idziemy, i akceptować to.

– A jak się wkurwią i zechcą nas pozabijać?

– No, to już będzie ich problem!

Rozdział ósmy

Frag zmuszony był spędzić dwa lata w ukryciu. Ukrył się mianowicie w wieży aresztu miejskiego po tym, jak został przyłapany na gorącym uczynku z ręką na sakwie pewnego bogatego kupca. To pozwoliło mu jednak zniknąć z horyzontu Greya i rozpocząć całkiem nowe życie...

– Powodzenia! – Lucius nie krył wzruszenia. Szczególnie po tym, jak Rodrick i Frag wytlukli pozostałe insekty z ogrodu, a ich truchła zostały pocięte na kawałki i zamarynowane w słoikach. – Raz jeszcze dziękuję za wszystko, i życzę wam powodzenia. Mam nadzieję, że nie napotkacie już żadnych przeszkód w drodze do Góry słoniowej. Ona jest już naprawdę niedaleko. Jeśli dobrze zepniecie konie, do zmierzchu pokonacie połowę drogi.

– Dzięki ci Luciusie za wszystko. – Varian położył mu dłoń na ramieniu jak staremu druhowi. A przy okazji zwinął sakiewkę, co nie umknęło uwadze Fraga. Ten jedynie uśmiechnął się półgębkiem. – Informacje, które od ciebie pozyskaliśmy mają dla nas niezwykłą wagę. Sądzę, że zmienią one charakter naszej wyprawy, o ile oczywiście moi towarzysze nie będą mieli nic przeciwko temu.

Rodrick i Mauricius zaczęli nerwowo obserwować czubki swoich butów. Ubiegłego wieczora o czymś tam rozmawiali, ale wszyscy byli mocno spici i upaleni. Mag częstował hojnie swoimi magicznymi proszkami. W sumie coś tam ustalali rzeczywiście, ale kto, co i dlaczego? Tego już nie pamiętali.

– Szerokości! – Lucius zamachał im ręką i zniknął w ciemnym przed-sionku swego domostwa.

Bohaterowie dosiedli koni i wyruszyli w dalszą drogę, na ustach niosąc niezbyt poważną, i dosyć frywolną piosnkę, której tekst traktował o gospodyni z wielkim biustem, ubijającej masło. Śmiechom nie było końca.

Rzeczywiście spięli konie, i rzeczywiście gdy zaczął zapadać zmrok, na horyzoncie pojawiła się góra inna, niż wszystkie, przypominająca kształtem słonia – skąd zapewne pochodziła jej nazwa. Frag mógł niemal przysiąc, że tuż pod szczytem widoczne były szare mury zamku z licznymi, strzelistymi wieżami. Choć oczywiście mogły to być jakieś skały. Jednak Frag dostrzegł, że Mauricius również wyteęza wzrok, i z niepokojem obserwuje to samo miejsce.

– To siedziba Xelatha? – zapytał Frag.

– Mniemam, że tak. Nigdy wprawdzie nie dane mi było zobaczyć zamczyska tego potwora, jednak widok ten zdaje się pokrywać z historiami zasłyszczanymi podczas tej męczącej podróży.

Mag zsiadł z konia i zaczął medytować. Rodrick szybko nazbierał drwa, i zabrał się do rozpalania ognia. Zawczasu nazbierał więcej bierwion i ułożył w stosik, by w razie nocnego przymrozku móc szybko rozpalić nowy ogień. Stosik starannie okrył warstwą cieńszych patyków i darni, by choć trochę uchronić go przed przemrożeniem. Każdy też od razu rozglądał się z takim miejscem na legowisko, by jak najlepiej osłonić się od wiatru, i jednocześnie spać jak najbliżej ognia. Wprawdzie od tego jednego razu, kiedy w nocy nawiedził ich Xelath sytuacja się nie powtórzyła, jednak woleli dmuchać na zimne. Lub w tym przypadku raczej zagrzewać ciepłe.

Na kolację zjedli koziołka, którego Rodrick zabił przypadkiem. Zwierze było wychudzone i suche, ale w ostateczności było to lepsze, niż żucie liści albo kamieni. Bo i tak zdarzało się ucztować w czasach wielkiego głodu.

– No, panowie. Może jest skromnie, ale dla mnie to uczta królewska – powiedział uroczyście Varian zasiadając do wieczerzy. – Zostało jeszcze trochę wina?

Roderick niechętnie podzielił się swą żelazną racją, która od razu została mu wyszarpięta przez Fraga.

– Dawaj to!

– Spokojnie, starczy dla wszystkich.

Jedli i pili, a później zaczęli palić z długich fajek, bo skończyły im się papierosy, a Mauricius miał jeszcze w kopciuchu trochę tytoniu wzmocnionego naftaliną. Kopał okrutnie, ale dzięki temu można było palić długo, powoli i niespiesznie.

– Jutro, jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, będziemy pod górą – powiedział w końcu Varian. – Wiecie, co to oznacza?

– Tak – odparł Frag. – Że będziemy pod górą.

– Nie inaczej. Będziemy pod górą.

– Tak... Będziemy pod tą cholerną górą – mruknął w zamyśleniu Rodrick.

Palili przez chwilę, po czym Varian wznowił temat.

– Być może czeka nas bój. Kto wie, może nawet śmiertelny bój. I może nie każdemu z nas dane będzie wrócić do swego domu, w ukochane strony, do swych ukochanych...

– Tak... – Rodrick puścił kółko z dymu, które poleciało w stronę księżycy. – Dawno już nie widziałem moich ukochanych dziwek. A i one pewnie za mną tęsknią. I oczywiście za moim fiutem.

– Chyba raczej za twoją kiesą – zaśmiał się Frag, który również wypuścił obłok dymu. Obłok przybrał kształt strzały i przeleciał przez kółko Rodricka, który widząc to skłonił się elegancko zaklaskał cichło. – A ty Mauricius? Pewnie tęsknisz za swoimi?

– No... raczej – odparł mag. – Wiecie, lubię domowe zacisze, herbatkę w fotelu przy kominku, dobrą książkę. Ale przygody to jest coś, w czym naprawdę się odnalazłem. Muszę przyznać, że te ostatnie kilkanaście dni, które spędziłem z wami chłopaki...

Po jego policzku popłynęła łza.

– Ach weź przestań – Varian zaśmiał się. – Bo się też wzruszymy. I my bawiliśmy się przednio w twoim towarzystwie Mauriciusie. Choć nie da się ukryć, że na samym początku odczuwałem pewien niepokój w związku z twoją osobą.

– Z moją? – mag uśmiechnął się dobrotliwie. – Przecież wiesz, że muchy bym nie skrzywdził.

– Widzieliśmy, co zrobiłeś z tamtymi robalami. Nie mów, że muchy byś nie skrzywdził. Gdyby trzeba było, urządziłbyś niezłe smažonko – zaśmiał się Rodrick. – Trochę szkoda, że jak zniszczymy koronę to nie dostaniemy nagrody. No, ale skoro chodzi o sprawy narodu, ojczyzny... Nie można zawsze myśleć tylko o sobie. Może trzeba będzie oddać tam życie, by wywalczyć wolność innym.

Wszyscy spoważnieli nagle. Ogień strzelał przyjemnie, a ku niebu

unosily się tańczące radośnie iskry. Jak dusze zmarłych, które opuszczają ziemski padół, by udać się w lepsze miejsce, do ogrodu bogów, i tam zasiadać przy jednym stole ze swoimi przodkami.

– Śmierć nie jest straszna, gdy pomyśli się o tym, co czeka nas później – powiedział filozoficznie Varian, po czym jego głowa opadła bezwładnie.

Rodrick wstał i okrył go kocem, po czym wziął fajkę swoją i Variana, i wytrząsnął z nich resztki tytoniu do ogniska.

– Dobranoc wam panowie – powiedział jeszcze. – Ta wyprawa to nie tylko dzika przyjemność. Przygoda w tak doborowym towarzystwie to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

– Dla mnie też – mruknął Frag zawijając się szczelniej w koc.

Mag już chrapał. I choć noc była dla nich niezbyt przyjemna, głównie przez wzgląd na dręczące ich koszmary, rano przywitał ich piękną, słoneczną pogodą i świergotem ptaków. Rodrick zaraz rozpałił ognisko i zaczął piec na patyku wielką sowę. Mauricius oddał hołd bóstwom solarnym, Varian zaczął ostrzyć swój miecz, a Frag udał się do strumienia, gdzie obmył swą twarz i głowę, a potem także i resztę.

Długo stał po pas w lodowatej wodzie pozwalając, by jego nogi drętwiały, a ciało pokryło się gęsią skórą. Potem kilka razy zanurzył się cały, z głową, próbując sobie przy tym wyobrazić, co czuje człowiek zamrażany.

Jako realista nie uważał, by wszystko, co słyszeli po drodze było całkowitą prawdą. Spodziewał się zobaczyć raczej coś pomiędzy tym, co opowiadali ludzie, a wyczynami festynowych kuglarzy wykonujących sztuki zadziwiające głównie ciemny lud. Bo czyż nie na tym polegała magia? Do-

brze widział, jak Mauricius wrzuca swoje proszki do ognia. Było w tym wszystkim jakieś tanie hochsztaplerstwo. A, że sam nie widział słynnego ognistego tornada, trudno było mu uwierzyć, że rzeczywiście miało ono miejsce. Może pozostali ulegli jakiejś zbiorowej halucynacji. W końcu mag dawał im różne proszki i zioła.

– Wyruszamy – usłyszał nagle głos Variana gdzieś za sobą.

Wyszedł z wody i zaczął się ubierać. Nagle poczuł zimny wiatr, który wbrew wszystkim wiatrom przybył od strony Góry słoniowej. Spojrzał w stronę szczytu, pod którym widniały mury zamku. I mógłby przysiąc, że widział tam małą postać, nerwowo gestykulującą, jakby wykonując jakieś karkołomne inwokacje.

– Xelath?

Kolejny mroźny podmuch utwierdził go w przekonaniu, że nie jest to przywidzenie. Czarownik musiał wiedzieć o ich obecności. Musiał ciskać w ich kierunku jakimiś mocarnymi czarami o nadzwyczajnym zasięgu. A więc jednak był on potężny.

– Idziesz? – krzyknął Rodrick.

– Idę, idę... Ale widzieliście to? – Wskazał palcem górę.

Spostrzegł, że Mauricius już wcześniej wpatrywał się w odległy punkt. Varian przysłonił oczy ręką od słońca. Uśmiechnął się.

– Ten pajac myśli, że wyrządzi nam jakąś krzywdę na odległość.

– Nie lekceważ go – powiedział Mauricius. – Może to tylko przygrywka.

– Tak, tak... Może jak się rozgrzeje, to zacznie ciskać w nas śnieżkami – roześmiał się Rodrick. – Szkoda czasu. Ruszamy panowie.

– O co chodzi Mau? – zapytał Frag wciągając spodnie.

– Nie wolno lekceważyć tak potężnego maga – wyszeptał pod nosem Mauricius. – Sam fakt, że wypatrzył nas z takiej odległości, na leśnej polanie... To nie jest normalne.

Wyruszyli. Ostro spięli konie, by jak najszybciej dotrzeć do zamku. Pod względem odległości pozostało im już naprawdę niewiele, jednak ten krótki fragment musieli pokonać pod górę, w dużo wolniejszym tempie, być może momentami prowadząc konie. Jednak chyba każdy zgadzał się z tym, że jeżeli tego dnia mieli stoczyć ostateczną walkę ze złem, to lepiej było ją zacząć maksymalnie dwie godzinki po obiedzie, żeby jeszcze nie było ciemno i strasznie. Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, jak bardzo nastrój może wpływać na ich zdolności bojowe. A nikt nie lubi zmroku wśród posepnych szczytów zalesionych wzgórz.

Zrobiło się jednak zimno. I było to takie wyraźne zimno, które sprawiało, że siedząc w siodle, drętwiały im ręce i nogi. Musieli pookrywać się pledami, ale to nie rozwiązywało problemu koni. Zwierzęta również marzły, więc popędzali je na tyle, by mogły się rozgrzać od samego ruchu. Wiedzieli jednak, że na dłuższą metę może to skończyć się tym, że ostatnio odcinek drogi będą musieli pokonać na piechotę.

Już gdy droga zaczęła unosić się ku górze, pojawiły się pierwsze opady śniegu. Choć jeszcze rankiem góra zdawała się być zielona, teraz liście jakby w cudowny sposób pożółkły i masowo opadły, a na nagich drzewach zaczęły odkładać się śnieżne czapy.

– Co tu się do jasnej cholery dzieje? – krzyknął Rodrick szczękając zębami.

– Nie wiesz? To Xelath – odparł Mauricius. – Jeżeli jeszcze ktoś miał wątpliwości, co do mocy maga, to teraz chyba już powinien się ich wyzbyć. Facet jest szalony i potężny. A to bardzo niebezpieczna mieszanka.

– Nie gadać! Jechać! – strofował ich Varian. – Miejmy to już za sobą.

Rozdział dziewiąty

Po opuszczeniu więzienia Frag znów spróbował być uczciwy. I wtedy poznał Variana.

Wrota były zaskakująco małe. Właściwie były to duże drzwi.

– Dziwne – mruknął Frag. – Zawsze kiedy ktoś mówi o zamczysku i wrotach, przed oczami stają mi naprawdę wielkie wrota. I potem nagle okazuje się, że rzeczywistość jest rozczarowująca, ale że mimo wszystko ta rozczarowująca rzeczywistość jest groźna i niegościnna, i człowiek nabiera wątpliwości co do swojej siły i swoich kompetencji.

– Ktoś ma wątpliwości? – zapytał dla porządku Varian. – To ostatnia chwila, aby się wycofać.

– Wydaje mi się – wtrącił się Rodrick – że ostatnia chwila, by się wycofać, była już bardzo dawno temu.

– Zgadza się – poparł go mag. – Pamiętajcie nasze motto? Co cztery członki, to nie jeden. Teraz już tylko musimy przejść przez te wrota i pozwolić, by działo się to, co ma się zadziać.

– No dobrze. – Frag zszedł z konia i zbliżył się do wrót. – To może pozwolicie, że ja dostąpię tego zaszczytu, i otworzę te zaskakująco nieduże wrota.

– O ile będzie się dało je otworzyć – odparł Mauricius. – Nikt raczej nie trzyma drzwi otwartych, kiedy spodziewa się wrogo nastawionych gości.

Frag pchnął drzwi, a te z jękiem uchylły się do środka.

– Najwyraźniej Xelath ma na ten temat zupełnie inną opinię.

Uwiązali konie do drzewa, i z obnażonymi mieczami przekroczyli zewnętrzny mur zamku. I tutaj znów spotkało ich zaskoczenie. Bo z opowieści, ale również i patrząc z daleka, zdawało się, że zamek to coś większego, niż dom. Tymczasem sławetna forteca Xelatha nie dużo większa była, niżli willa na farmie Luciusa. Okalał ją jakiś całkiem wysoki mur, jednak już samo domostwo miało po prostu jedno piętro więcej, niż standard, i coś na kształt wieży o okrągłym przekroju. Jej szczyt zbroiły blanki, co świadczyć mogło o obronnym charakterze tego przybytku.

– No i jesteśmy – oznajmił Varian. – Gdzie ten dupek?

– Tutaj jestem! – zagrzmiął głos z góry.

Wszyscy spojrzeli na balkon zawieszony na wysokości drugiego piętra, gdzie stał Xelath.

– Murzyn? – zdziwił się Frag.

– Zaskoczony? – odpowiedział pytaniem na pytanie czarownik. – Takie mamy czasy, że poprawność polityczna nakazuje, by pojawił się murzyn. I właśnie jam jest!

– Ale w Niuatrze nie żyją czarnoskórzy...

– Nie szukajcie tematów zastępczych! Posłuchajcie! Naruszyliście moją prywatność i będziecie musieli teraz ponieść srogą karę! – Xelath uniósł ku górze swój kostur.

– Nie, to ty posłuchaj – przerwał mu Varian. – Przybyliśmy tu, by obalić twą niecną tyranię. Zapłacisz teraz za wszystkie swoje winy. Odbierzemy ci twoją koronę, nasramy do środka i zniszczymy ją. A ciebie zrzucimy zaraz z tego balkonu. Będziesz skomlał o litość psie!

– Ej, nie przesadzasz trochę? – odezwał się Rodrick. – W sumie wystarczyło chyba tylko to, że zrzucimy go z balkonu. Po co zaraz litość?

– Myślicie, że przesadziłem? – Varian rozejrzał się po twarzach swoich towarzyszy? – Frag? Mauricius?

– Mnie nie pytaj – odparł Frag. – Nie jestem najmocniejszy w etyce. Może po prostu pójdziemy mu spuścić lanie, zanim ciśnie w nas jakimś świństwem?

– Cha, cha! Naiwniacy – zagrzmał z góry czarodziej. – Sądzicie, że będziecie w stanie wyrzucić mi jakąkolwiek krzywdę?

– Bierzmy się do roboty, bo zaczyna mi działać na nerwy – rzekł Rodrick, i posłał kopniakiem drzwi wejściowej do wnętrza oświetlonej świecami izby. – Tam są schody – wskazał mieczem.

Wbiegnięcie na górę zajęło im trochę więcej czasu, niż powinno, przez wzgląd na nie najlepsze nawyki żywieniowe oraz nadużywanie alkoholu i rozmaitych substancji odurzających.

Kiedy w końcu dotarli na balkon, usłyszeli tylko złowieszczy śmiech Xelatha, i ujrzeli zamykające się drzwi, za którymi najpewniej znajdowały się schody na wieżę.

– Cha, cha! Zaraz pożałujecie! – dobiegł ich głos.

– O nie! – Rodrick chwycił się za brzuch i oparł o ścianę.

– Co ci jest? – zapytał Varian. – Oberwałeś?

– Nie... To nic... Idźcie za nim – wyjęczał Rodrick. – To tylko biegunka. Nasram mu w księgi i zaraz was dogonię.

Varian spojrzał mu w oczy.

– Trzymaj się bracie!

Ruszyli dalej na kolejne schody. Mauricius włókł się na samym końcu, opadając z sił. Z góry dochodził do nich szyderczy śmiech czarnoksiężnika.

– Nie wiem czy dam radę – jęknął mag. – Mam straszliwą kolkę!

– Potrzebujemy cię – wrzasnął Frag. – Pomogę ci!

Chwycił Mauriciusa pod ramię, i zaczął wciągać po go schodach. W tym czasie Varian zdążył dotrzeć już na górę, i mieczem uderzył kilka razy w drewnianą klapę, którą Xelath zamknął, i przytrzasnął czymś ciężkim.

– Wasz koniec jest bliski! – darł się wniebogłosy. – Wkrótce pożałujecie, żeście się tu zapuścili! Kurwy na patyku! Kurwie syny! Świniojebcy!

Frag dotarł z Mauriciusem na górę w chwili, gdy Varianowi udało się wreszcie rozłupać zawias, i klapa opadła nieco. Wszyscy trzej uwiesili się na niej całym ciężarem. Wkrótce właz załamał się do środka, a na ich głowy spadła donica z paprocią.

– Skurwysyny! Pożegnajcie się z życiem!

– Niech ktoś mu wreszcie uciszy mordę – jęknął Frag.

Na szczyt wieży wdrapali się niemalże po swoich grzbietach. Xelath cisnął jakimś czarem, jednak efekt był taki, że na bluzie Variana pojawił się szron. Czarnoksiężnik zaklął szpetnie, i dobył niezbyt długiego kindżału.

– Rozpruję cię jak kota na rosół! – wycedził przez zęby.

– Najpierw będziesz musiał mnie zabić – odparł Varian, wykonując gwałtowny zamach mieczem.

Ostrza zderzyły się ze sobą z nieprzyjemnym zgrzytem. Jednak do widowiskowego pojedynku dojść nie mogło, gdyż Frag dobiegł do Xelatha i zdzielił go pięścią w skroń. Czarownik zawył i wypuścił nóż, który natych-

miast został odkopnięty przez Mauriciusa. Natychmiast powalono Xelatha na ziemię, a na jego twarz posypały się ciosy i kopniaki. Korona szybko została zdeptana i połamana na kawałki.

– Jebał cię pies mendo!

– Poderżnij mu gardło skurwielowi!

– Zrzućmy go z wieży!

– Nie! Błagam – Xelath zaczął więc się jak piskorz. – Błagam, nie róbcie mi krzywdy! Zrobię wszystko, czego sobie zażyczycie! Wszystko! I mam tu na myśli także świadczenia o charakterze seksualnym!

– Słyszałeś go? – Varian otarł usta, z których sączyła się stróżka krwi.

– Za kogo on nas kurwa ma? Dawać go na dół!

– Nie! Błagam! Proszę!

Krzyki czarnoksiężnika, które jeszcze przed chwilą były buńczuczne i groźne, teraz stały się piskliwe, zupełnie jakby wydostawały się z gardła kastrata. Próbował wyszarpać się z ramion swych oprawców, jednak nawet Mauricius okazał się mieć więcej tężyzny, niż podstarzały hochsztapler.

Przyciągnęli go więc do muru, i jednym mocnym podrzutem sprawili, że nagle znalazł się po jego niewłaściwej stronie. Ciało spadało zaskakująco długo, jak na mizerną wysokość wieży. A może to czas zwolnił. Gdy Frag wyjrzał za krawędź, spostrzegł, że mimo wszystko jest dosyć wysoko. Czarnoksiężnik szybował jak orzeł, trzepocząc bezradnie wszystkimi kończynami. Jego szata powiewała na wietrze, jednak nie było w tym ani krzty majestatu. Lot był raczej tragiczny i upokarzający, a w momencie gdy potylicca Xelatha zahaczyła o wystający gzyms, a na murze pojawiła się szkarłatny bryzg, stał się również groteskowy i odpychający. Zderzając się na końcu

z ziemią, złożył się w pół jak scyzoryk, ale nie w tę stronę, w którą powinien, ale w całkiem inną.

Mauricius splunął z pogardą.

– Widzę, że ci odpuściły stresy. – Frag uśmiechnął się.

– Tak... Okazało, że to tylko człowiek z krwi i kości. Dosłownie.

Wszyscy trzej wybuchnęli gromkim śmiechem, klepiąc się po plecach.

– Chłopaki, to była naprawdę dobra robota – powiedział Varian. – Zaslugujemy na prawdziwą ucztę. Czas sprawdzić, co kryje piwniczka tego kurwieszona.

– No ba! – odparł Frag.

Główna sala domostwa nie nadawała się do użytkowania przez wzgląd na to, czego dokonał tam Rodrick. A raczej jego rozszalałe jelita.

Rozłożyli się ze wszystkim w kuchni, która była większa, niż kuchnia przeciętnej rodziny zamieszkującej te okolice. Na jej środku znajdowała się marmurowa wyspa z lśniącym blatem, na którym już po chwili pojawiły się rozliczne butelki oraz słoiki z przetworami. Rodrick pospiesznie przyrządził tuzin gołębi, które mimochodem zatłukł drewnianą pałką podczas podziwiania zachodu słońca. Mauricius załatwił jakieś mięso z piwnicy, zaś Varian zaczął przyrządzać rozmaite drinki, mieszając nalewki, wina i piwa.

– Sekret dobrego drinka to nalewka, wino i piwo – powtarzał co jakiś czas bez sensu.

Stres walki wyparował niemalże bez śladu. A wraz z pierwszymi chmurami tytoniowego dymu, wypuszczonego z ich fajek, został także całkowicie wymazany z pamięci.

– Do był dobry dzień – zaśmiał się Varian.

– Doskonały! – Frag stał przy oknie i strzepywał popiół na powykręcane, i coraz bardziej rozwleczone przez kruki zwłoki Xelatha. – Jak tak o tym myślę, to wydaje mi się, że jesteśmy kimś więcej, niżli tylko paczką złodziei. Dokonaliśmy dziś czegoś naprawdę spektakularnego. Zajebaliśmy zło. Ale tak na maksa!

– Na maksa w chuj – poparł go Rodrick, który właśnie wyzerował butlę nalewki. – Jesteśmy niepowstrzymani.

– Akurat ciebie coś powstrzymało. – Varian spowaźniał. Jednak długo nie wytrzymał. Chwilę potem ciszę przerwała salwa gromkiego śmiechu.

Kruk, który właśnie wydziobywał oko Xelatha spłoszył się, i zerwał się do lotu. Potem ucztowali jeszcze bardzo długo najpierw w kuchni, potem przed zamkiem, gdzie rozpalili ognisko z ksiąg i mebli maga.

Ostatnim co Frag pamiętał z tego wieczoru, były zwłoki Xelatha podciągane na sznurze w górę. Przywiązali je za jedną nogę, i wciągnęli na masz, by powiewały jak flaga. Jednak ku ich rozczarowaniu wcale nie powiewały, a jedynie kiwały się lekko przy większych podmuchach.

– To nie jest ludzka flaga – rzekł Rodrick, a następnie zrzucił zawartość żołądka z wysokości wieży, aż na sam dół, gdzie dopalało się ognisko z magicznych ksiąg. Na rzygowiny natychmiast rzuciła się chmara ptactwa.

Rozdział dziesiąty

Stan, w którym Frag był nad ranem, trudno określić innymi słowy, niż klęska, pożoga lub czarna rozpacz. Choć mawia się, że w górach człowiek kaca nie ma, to jednak Frag kaca zdecydowanie miał. I to takiego fest. Prawdopodobnie największego od czasu pamiętnego festynu w Bragville, podczas którego zapadły kluczowe dla jego życia decyzje.

Wstał, i niemal od razu zwymiotował. Potrzebował dwóch naprawdę długich godzin, by dowlec się do koryta z wodą dla koni. Jednak nim zdołał się napić, dostrzegł plamę wymiocin unoszącą się na powierzchni wody oraz dłoń Variana, kurczowo trzymającą się krawędzi wodopaju.

– Żyjesz? – zapytał Frag.

– Nie.

– Przesadziliśmy wczoraj. Znowu.

– Taki już los bohaterów – odparł Varian. – Najpierw się długo podróżuje, potem się długo walczy, a na samiutkim końcu się bardzo długo pije. I zażywa innych używek.

– A propos innych używek, czy widziałeś gdzieś Mauriciusa?

– Leży u bramy.

Ciało maga rzeczywiście spoczywało w wejściu, blokując drzwi przed otwarciem. I może nawet dobrze, bo gdy Frag spojrział w tamtym kierunku, dostrzegł coś jeszcze – ktoś z zewnątrz próbował dostać się do środka. Odruchowo sięgnął po miecz, jednak nie miał przy sobie ani miecza, ani pochwy, ani nawet pasa.

- O kurwa...
- Co jest? – Varian otworzył jedno oko.
- Mamy gości.

Ktoś naparł na wrota mocniej, i Mauricius przemieścił się, pozostawiając na śniegu ślad w kształcie łuku. Na teren zamku wszedł nie kto inny, jak Omnerć Kładsaw i Gładisz Butenna.

- O kurwa – powtórzył Frag, jakby cokolwiek miało to zmienić.
- Znasz ich?
- Niestety tak. Masz może jakiś miecz czy coś?

Varian sprawdził swój pas. Jego miecza również nie było. Frag przypomniał sobie nagle, jak w nocy zabawiali się na wieży siekając zwłoki czarnoksiężnika zwisające z masztu. Miecze musiały zostać właśnie tam.

No pięknie, już po mnie – pomyślał.

– No proszę... Kogo my tu widzimy? – Omnerć zaśmiał się nieprzyjemnie. Zbliżył się do Fraga i kucnął. – Toż to pan Frag Stanson we własnej osobie. Długo pana szukaliśmy panie Stanson.

– Powitać – mruknął Frag, by zachować choć krztynę kurtuazji. – Wiecie, w tym Bragville to nie tak... Ja nie chciałem was zostawić na pastwę losu, ale sami rozumiecie – strażę, broń, co miałem zrobić? No co?

Gładisz chwycił go pod ramiona i pomógł wstać.

– Ależ my nie mamy tego za złe – kontynuował Omnerć. – Naprawdę. Frag nie uwierzył.

– Z początku trochę się gniewaliśmy. I nawet przyszło nam przez myśl, by cię odszukać i obdrzeć ze skóry – mówił Kładsaw gładząc rękojeść swojego miecza. – Ale to tylko i wyłącznie dlatego, że nie mieliśmy pojęcia,

kim jesteś. Gdybyśmy wiedzieli, wcale byśmy tak nie myśleli. Prawda Gładisz?

– No – odparł Butenna, który ogólnie rzecz biorąc nie należał do najbardziej rozmownych osób na świecie.

To wszystko nie podobało się Fragowi. Rozglądał się nerwowo w nadziei, że dostrzeże zaraz Rodricka pędzącego mu na ratunek, lub chociażby tego nieudacznika Mauriciusa. Ale nie. Wszyscy leżeli pokotem.

– Co ze mną zrobicie? – zapytał w końcu.

– Co z tobą zrobimy, pytasz? To w Bragville rzeczywiście było niefajne. I trochę mamy ci to za złe. Zwłaszcza, że dostaliśmy po sto batów na gołą dupę. Ale i tak skończyło się dobrze, bo przecież mogli zabić. No więc nawet wtedy, gdy już dowiedziałem się, kim naprawdę jesteś, rozważałem jakąś formę małej, symbolicznej zemsty. Na przykład właśnie te sto batów na gołą dupę – Omnerc zaśmiał się. Butenna także. – Niestety wasza wysokość. Nie wypada mi.

– Wasza co? – Frag przełknął głośno ślinę.

– Wasza wysokość – powtórzył udawany rycerz. – Cha! Ty nic nie wiesz. Królowa miała rację.

– Królowa?

– Jesteś panie prawowitym spadkobiercą tronu Bergamii. No... Może nie takim prawowitym. Jesteś bękartem królowej regentki Arianny i Joachima Veneri. Syn Amaronu Kamtar dokonał żywota po tym, jak na polowaniu poturbował go dzik. Biedak miał zaledwie dwadzieścia pięć wiosen. Joachim Veneri wyczuł w tym swój interes. Przekonał radę, by uznała za prawowitego spadkobiercę bękarta, którego przed laty kazał utopić, jednak Arianna

wraz ze swą służką puściły cię w koszu na rzece. – Omneré usiadł na kamieniu i odpalił fajkę. – Dużo czasu zajęło nam ustalenie wszystkich faktów, jednak są one takie, że bękart został znaleziony przez dwójkę wieśniaków zamieszkujących jedną z przygranicznych wsi. Zdecydowali, że zamiast zjadać, wychowają cię jak własne dziecko. I chwała im za to. Przez długie lata po ich śmierci zajmowałeś się niecnymi postępami. Bardzo pomocny w ustaleniu twojej tożsamości okazał się Alfredo Veneri, który przez pewien czas był ci druhem...

– Stary Alfredo...

– Dokładnie ten sam. Nie wyjawiał ci prawdy, ale upewnił się, że ty to ty, i dał znać listownie swojemu ojcu, który z kolei wieść przekazał Ariannie. Po śmierci Kamtara stało się jasne, że trzeba cię odszukać, zanim ktoś wpadnie na jakiś durny pomysł w rodzaju wolnej elekcji.

– A więc jestem...

– ...tak jakby prawowitym następcą tronu – dokończył Omneré. – Co z kolei rodzi pewne następstwa. Otóż musisz rzucić wszystko i jechać z nami do Bergamii, ponieważ pokój znów jest zagrożony.

– ...jestem bergamijskim psem – dokończył Frag.

Na moment przebudził się Varian.

– Jesteś bergamijskim psem? To chyba już nie możemy razem pić.

– Wyruszamy jak tylko doprowadzisz się do porządku mój panie. – Kładsaw wstał i uklonił się nisko. – Musimy być najpóźniej za tydzień w Kamperii. Grozi nam kolejny krwawy konflikt z tymi psami z Niuatry.

– Tak – potwierdził Gładisz Butenna.

– Ale... Moi przyjaciele... Moi bracia w broni...

– Chuj im w dupę panie – odparł Omnerć. – Ekhm... przepraszam. Chciałem powiedzieć, że nie mamy w chwili obecnej zbyt dużo czasu, by zajmować się tak subtelnymi niuansami, jak kwestia twoich przyjaciół mój panie.

– Ale co z nimi będzie?

– No cóż... Pewnie w dalszym ciągu będą kraść i zarażać się chorobami wenerycznymi. To obecnie nie jest nasze zmartwienie. My musimy ratować tysiące niewinnych żywotów przed krwawą rzezią. – Rycerz podszedł bliżej. – Nie rozumiesz? Zostałeś stworzony do celów znacznie wyższych, niż tylko osuszanie butelek. Jesteś królem, a twoje królestwo czeka. Każdego dnia setki gardeł pytają, gdzie jest ich król? Gdzie ich władca Frag Veneri. Są decyzje, które trzeba podjąć. Decyzje o wielkiej wadze strategicznej.

– Jakie decyzje?

– Wojska są już gotowe. Trzeba wyruszyć na Niuatrę...

Koniec tomu pierwszego

Oceń:

<http://lubimyczytac.pl/ksiazka/4864758/palladyni-wina-i-miecza>